



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 6 marca 1955 r.

Nr 10 (258) Rok VI

WILHELM MACH

O mętnych wodach i czystym nurcie list do przyjaciela

Smutno mi, Droga Ewo, jak-
ś niewsłuch, a nawet nie-
wiele brakowało, bym się u-
skarżał na samotność. I to,
wyobraź sobie, z przyczyn
tym razem nieosobistych.
Bardzo to nieścisłe rozróżnienie —
„osobiste” i „nieosobiste” — wiadomo,
że sprawy powszechnie znaczące
też są „osobiste” i tylko dzięki
temu mogą w ogóle coś znaczyć. Ale
i nieścisły sens rozróżnienia przyda-
je się w potocznej praktyce. Mniej-
sza zresztą o ścisłość. Postanawiam
wyzalic Ci się w zwyczajnym ludz-
kim trybie, bez skrupowania rygorami
dokładności i dokumentacji, bez
aptekarzkiego ważenia argu-
mentów.

Wygadałem swoje zmartwienie na
zebraniu redakcyjnym — i koledzy
uznali, że powinienem to zapisać,
wydrukować. Co jest przedmiotem
zmartwienia? Sprawy współczesnej
polskiej literatury. Sprawy krytyki
literackiej. Sprawy polityki kultural-
nej w zakresie literatury. Stosunek
pisarzy do pisarzy, krytyków
do krytyków, czytelników do książek
i krytyki.

A ledwie położyłem przed sobą
papier, ledwie pomyślałem o cięż-
kiej i zobowiązującej słowo: arty-
kuł, odczułem niepokój, niechęć,
niemożność pisania. I natychmiast
zdałem sobie sprawę, że i to uczucie
jest składową częścią zamierzonego
tematu, że i ono wynika logicznie,
nieuchronnie z tego samego stanu
rzeczy, który starałem się przedsta-
wić na wspomnianym zebraniu i
który miał stanowić przedmiot arty-
kułu. Wiesz, kiedy doznajemy po-
dobnie nieprzyjemnych uczuć? Gdy się
wybieramy z odwiedzinami do lu-
dzi, których nasze troski i potrzeby
bądź niewiele obchodzą, bądź obcho-
dzą w sposób opaczny a nawet nie-
przyjny. Więc nawet bym zdania
nie napisał, gdyby nie pomoc tej o-
branej formy — formy prywatnego
listu do Ciebie. Formy fikcyjnej czy
bodaj półfikcyjnej — bo przecież
wiem, że w gruncie rzeczy piszę do
gazety. A przecież nie ma w tym
zabiegu zaktamowania, kokieterii — to
istotnie jest mi potrzebne, żeby nie
drżała ręka, żeby myśl wysnuwała
się swobodnie i szczerze. Zastanów
się, co to oznacza! Uformuj sobie z
tego pierwszego zwierzenia groźny i
(na razie) nie umotywowany para-
doks: „— że zatem, aby się wypowie-
dzić publicznie w publicznych spra-
wach, pisząc woli zapamiętać o tych,
do których się zwraca, woli
niejako mówić z zamkniętymi oczyma,
że musi pomagać sobie fikcją
rozmowy w cztery oczy.

Dlaczego? — Będę odpowiadał tak,
jak posłuszny Bóg, bez porządku,
może i bez hierarchii.

Nie mogę zapomnieć ostatniego
Zjazdu Polonistów w Poznaniu, w
r. 1952. Przedmiotem obrad była
polska literatura współczesna. Referaty
obeszły się z nią bezwzględnie.
Najlepsze stosunkowo noty uzyska-
ły powieści, które z czasem nazwa-
no „schematycznymi”. Ale i te były
ostro zganiane, że nie dość jeszcze
dokładnie pasowały do szablonów.
Wszystkie inne bądź uległy niełasce
krytyki bezlitosnej, bądź jeszcze
bezlitosniejszemu przemilczeniu. Ze
skamieniałą powagą wymierzono
sprawiedliwość A. Rudnickiemu i K.
Brandysowi za „nieprzezwyrodną
relikty”, „wewnętrzne pęknięcia” itp.
O Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Iwas-
kiewicz nie mówiono się wcale. Ser-
deczne przemówienie Iwaszkiewicza
przyjęli „metodologicznie uzbrojeni”
badacze podejrzliwie i z zażenowa-
niem — wystąpił jak gawędziarz,
jak nowelista, ba! jak pisarz, a nie
jak — bodaj! — obrońca Pokoju!
Nieśmiało głosy, jakie wówczas pa-
dy, że marksistowska metoda ba-
dań nie jest tym co zebrani zapre-
zentowali, a więc sekciarstwem i
dogmatyzmem, że — dalej — me-
toda jest narzędziem a nie celem sa-
mym w sobie, że jej absolutyzowa-
nie topi dialektykę w idealizm —
głosy te spotkały się z pobłażliwą
niewiarą. Byli tam, na Zjeździe,
młodzi ludzie powołani do tego, by
budzić miłość do literatury, by ją
krzyczeć w szkołach. Byli młodzi
krytycy, już praktykujący i tacy co
się do praktyki właśnie spobili.
I wszyscy, prawie wszyscy niechętni
literaturze, nieczuli na odrębny
urok jej działania, kategorię
żądających, by przestała być sobą.
Prawie wszyscy chorzy na tę samą
chorobę, która trawiła jedną apro-
bowaną przez nich literaturę —
schematyzację.

Ach, nie jest to w pełni sprawie-
dliwe, co napisałem. Chcieli dobrze,
pomogli jak umieli w utwierdzeniu
nowych fundamentów. Wiemy, nie
ma co powtarzać. I to wiemy, że
stracili wiedz, na froncie obiektyw-
nie słusznej batalii, dużo z odwagi

samodzielnego myślenia. W ciągu
następnych lat uporczywie alarm
publicznie sprawił, że tę stratę zro-
zumieli, że się do niej musieli przy-
znać. Tu rzecz się gmatwa. Historia
choroby była przejrzystsza niż hi-
storia rekonwalescencji. Wśród mło-
dych polonistów, wśród młodych
krytyków — i czy tylko wśród mło-
dych? — pozostał uraz. Może ura-
za czy obraza. Żal za to, że byli ta-

zala się pojmoma. Mieścila wszyst-
kie postulaty, słuszne i teoretycznie,
i praktycznie, a poza tym mieścila
wszystko, co się komu spodobało do
niej wrzucić. Teraz w służbę socja-
lizmu powołać było można — jaw-
nie — najsłabsze, najprywatniej-
sze, najróżniejsze gusty i ponęty. I
całe to pospolite ruszenie dało się
ustawić pod jedną chorągwią. Ta-
ka na przykład „jakościowa”, „typo-

skłaniały do melancholii. Jeszcze
nie ostygły z reformatorskiego za-
palu sale zjazdowe, a już część zdo-
byczy unieśli tandeciarze na swój
czarny rynek. Już poszły w kraj
wici, do Krakowa i dalej, żeśmy
„sorealizm znieśli” a „formalizm
z powrotem uchwalili”. Już się za-
częły przetargi i łowy na „pokupne

(Dokończenie na str. 6)



Rys. Marek Rudnicki

Nasz wiek XX, świadek dwóch wielkich wo-
jen światowych, w których cyfra zabitych
sięgnęła dziesiątków milionów, jest nie tylko
wiekiem imperialistycznych wojen i kolonial-
nego wyzysku. Jest także wiekiem nowego hu-
manizmu. Rewolucja Październikowa przy-
wróciła prostemu człowiekowi tę godność jaką
mu wydarł kapitalizm i wskazała perspekty-
wy nowego życia, z którego został usunięty
wyzysk oraz zaborcze wojny, pochłaniające
ofiary w ludziach i dorobek społeczeństwa.

Dziś, w dziesiątym roku istnienia nowego
ustroju, widzimy jasno sens rozwoju ludzko-
ści — jest nim budowanie kultury narodowej
w oparciu o podporządkowane społeczeństwu
wszelkie siły wytwórcze. Ale istotne tworze-
nie tej kultury odbywać się może jedynie w
warunkach pokojowych. Tymczasem zdobycze
nauki zostały wykorzystane do celów zbrod-
niczych. Odkrycie Marii i Piotra Curie przed
pięćdziesięciu laty, zapoczątkowujące nową
epokę w historii świata, epokę wykorzystania
przez człowieka energii atomowej, stało się

powodem do podkreślenia przez garstkę ban-
kierów i polityków swej przewagi nad resztą
świata. Zamiast zużycia energii atomowej do
celów gospodarczych stworzono nową broń,
groźną dla istnienia ludzkości, broń, której ce-
lem jest zagłada.

My, wojenne pokolenie, które zostało tak
straszliwie straszkane w tej wojnie, pokolenie,
które do tej pory odczuwa skutki tej wojny
i odczuwać będzie przez długie lata, pokolenie,
dla którego widok zniszczonych miast i spalo-
nych wsi był widokiem codziennym — prote-
stujemy! Protestujemy w imię przyszłości na-
szej, w imię kultury, w imię spokojnego lep-
szego życia, które budujemy z tak ogromnym
wysiłkiem. Niech więc głos każdego z nas pod
Apellem Wiedeńskim będzie głosem przestrogi
pod adresem tych, którzy chcą naszą przy-
szłość zburzyć. Siłę zbrodni przeciwstawiamy
siłę tworzenia nowego życia. Jest nią miliard
ludzi walczących o nowy kształt świata. Świa-
ta, który wpręgnie energię atomową w służbę
ludzkości.

cy niesamodzielną, części bezmyśl-
ni. Żal obrócił się przeciw temu, w
czym się ich działanie myślowe ob-
jawiało, przeciw temu, w czym się
zapisał dowód ich kompromitacji.
Przeciw literaturze współczesnej.
To nic, że literatura współczesna za-
częła się tymczasem leczyć, dźwi-
gać z niemocy, polepszać. Jej „ba-
dacze”, „krzwickiele” i „populary-
zatorzy” przenieśli w nowy jej o-
kres swoją nieufność, niechęć, nie-
wiarę, lekceważenie. Ma być inna?
lepszą? No, my to zobaczymy, czy
potrafi! Raz tylko daliśmy się jej
nabrać! Już my teraz przypilnuje-
my, już my jej niczego nie prze-
puścimy! Hejże, do roboty! Kujmy
nowe sztańce, wykrawajmy nowe
szablony! Już my cię wymierzmy,
sprawdzimy, ocenimy, ty, współ-
czesna! — Nieufność, niechęć, lek-
ceważenie. Niby pawłowowski odr-
uch warunkowy na bodziec: „nasza
literatura”.

A że nie byli marksistami, że
musieli to przyznać, iż jeszcze
nimi nie byli (choć tak bardzo
chcieli, choć tak mocno im się zda-
wało, że są) — może i to rozczar-
owanie utwierdziło odruch goryczy i
niechęci. Piszę „może”, bo nie o-
rzekam, tylko badam, szukam, pró-
buję. — No! — postanowili sobie —
zaczniemy teraz myśleć samodziel-
nie. Pod maską pseudometody doko-
nała się rażna wymiana kryteriów.
Absolutyzowanie metody, jako że
w swej istocie idealistyczne, pod-
dało się bez oporów remonowi. Miarkę
„społecznej użyteczności” —
zastąpiono miarką „jakości”. Oka-

wość” potrafi wyargumentować —
teoretycznie — realizm każdej a-
nagrody: o pestce z dyni, o seledy-
nowym kocie w butach, o subtel-
nym chuliganie, o przewrotnym se-
kretarzu POP-u. Również, oczywi-
ście, o całej dyni, o zwyczajnym ko-
cie i o sekretarzu przyzwyczajonym.

Materiał pomocniczy dla „my-
ślowej samodzielności” nie brakło.
Wstrzemięźliwie się cieszyłem
podczas pamiętnych obrad XI Se-
sjii Rady Kultury, a potem — w
trakcie ostatniego Zjazdu Literatów.
Nie dlatego, iżbym nie doceniał do-
niościłości przełomu w rozumieniu
spraw sztuki, słuszności walki o
sztukę pełną, bogatą, realistyczną
nie z przykazania, lecz z żywej mi-
łości do świata, socjalistycznej nie
w haśle, lecz w treści. A jednak
czułem się nieswojo. Raz dlatego,
że nie lubię, gdy się ludzi pióra,
pędzla, czy dłuta chwali za odwagę,
ośmiela do szczytów i do tego, by
mnie na karkach własne głowy.
Uważam to za przymioty równie
naturalne, jak obowiązujące. Tak
np. zawstydzali mnie zawsze po-
dziękowania czy nagrody dla „ucz-
ciwych znalazców”. Nie lubię też,
gdy z wyżyn ministerialnego czy
związkowego autorytetu uogólnia
się zbyt uniwersalne „potyki” czy
„osiągnięcia”, „minionej epoki”, to
znaczy, gdy się nazbyt szczerze
szafuje gramatyczną formą „my”.
Niechaj zasługę przyzna się zasłu-
żonym, a błąd wytknie błędzącym,
pamiętając, że cudza własność nie
tuczy. Mniejsza jednak o to. Bar-
dziej ważne powody niepokoiły,

TADEUSZ BREZA

KONTRASTY CHIŃSKIE

W pełnym węgry i pla-
styki „Notatniku chiń-
skim” Jerzy Putrament
przeprowadza
następujący rachunek:
ponieważ Chiny są

mniej więcej trzydziście razy więk-
sze od nas, trzydziście dni spędzo-
nych w Chinach równa się jedne-
mu w Polsce. Putrament ma rację.
I to w jeszcze znaczącym stopniu
niż wynika z jego porównaw-
czego ujęcia. Bo w zestawieniu z
Polską Chiny są nieskończenie bar-
dziej zróżnicowane. Po prostu —
Chiny Chinom nie równe. Choćby
Północ i Południe! To dwa odrębne
światy, z inną fauną, florą, rzęba-
terem, z innymi górami, inaczej
przez naturę pokolorowane. Północ
jest pszeniczna, kukurydziana, gli-
niana, lessowa i brunatna. Południe
mieni się tysiącem odcieni zawsze
intensywnej zieleności. To ojczyzna
pól ryżowych i herbacianych, mor-
wy, bambusu i cyprysów. Przedziela
Chiny na takie dwie połowy, bru-
natną i zieloną, wstęgą długości po-
nad sześć tysięcy kilometrów, rzeka
Jangtsekiang czyli Rzeka Niebieska.

Różny też jest typ miast. Co go-
rzej, ich już nie można zwyczajnie
posegregować na zielone i brunat-
ne. Kanton, Kunming czy Szang-
haj, to Południe; Pekin, Tientsin czy
Mukden, to Północ; a każde z tej
szóstki ma swoją fizjonomię i jest
z innym miastem nieporównywalne.
A cóż dopiero za różnice się uja-
wnia, gdybyśmy się zaczęli posuwać
nie z góry na dół po mapie chiń-
skiej ale w poprzek. A więc nie
wzdłuż wybrzeża, lecz horyzontalnie,
w głąb kraju, idąc za linią jakie-
goś równoleznika, przypuśćmy czter-
dziestego, który w przybliżeniu
przechodzi przez Mukden i An-
szań, ten wspaniały kombinat naj-
nowocześniejszych obiektów hutni-
czych, lecz przechodzi również przez
tajemnicze przestrzenie Sinkiangu,
gdzie władze lokalną dźwierz wodzo-
wie plemienni, nieomal książątka.

Centralny Rząd Ludowy w Pekie-
nie respektuje ich władzę. Oni też
ze swej strony respektują rząd i
ustrój. Niekiedy z nich są niejako
aktywistami. W Czungkingu spa-
łem w pokoju, który przede mną
zajmował taki właśnie wódz ze
swoim synem. Pokój był wspania-
ły, bo i hotel był reprezentacyjny.
Mieścił się w prawym skrzydle mo-
numentalnego nowozbudowanego
gmachu z salą na pięć tysięcy osób.
Sala była salą posiedzeń. Gmach
był gmachem parlamentu Chin Po-
łudniowo - Wschodnich. Wódz zaś
był posłem, a jego syn — zastęp-
cą. Ze swojego okręgu jechali na
sesję konno. Biorąc pod uwagę ten
srodek lokomocji i drugą prowincję,
oddaleni byli od Czungkingu o dni
dwadzieścia. A spróbujmy się za-
stanowić ile od Mukdena a zwłasz-
cza od Anszan z jego niedawno
wykończonymi walcownikami blachy
i rur, radzieckiej produkcji, całko-
wicie zautomatyzowanymi? Ja my-
ślę, że dzieli ich odległość dwu ty-
sięcy lat.

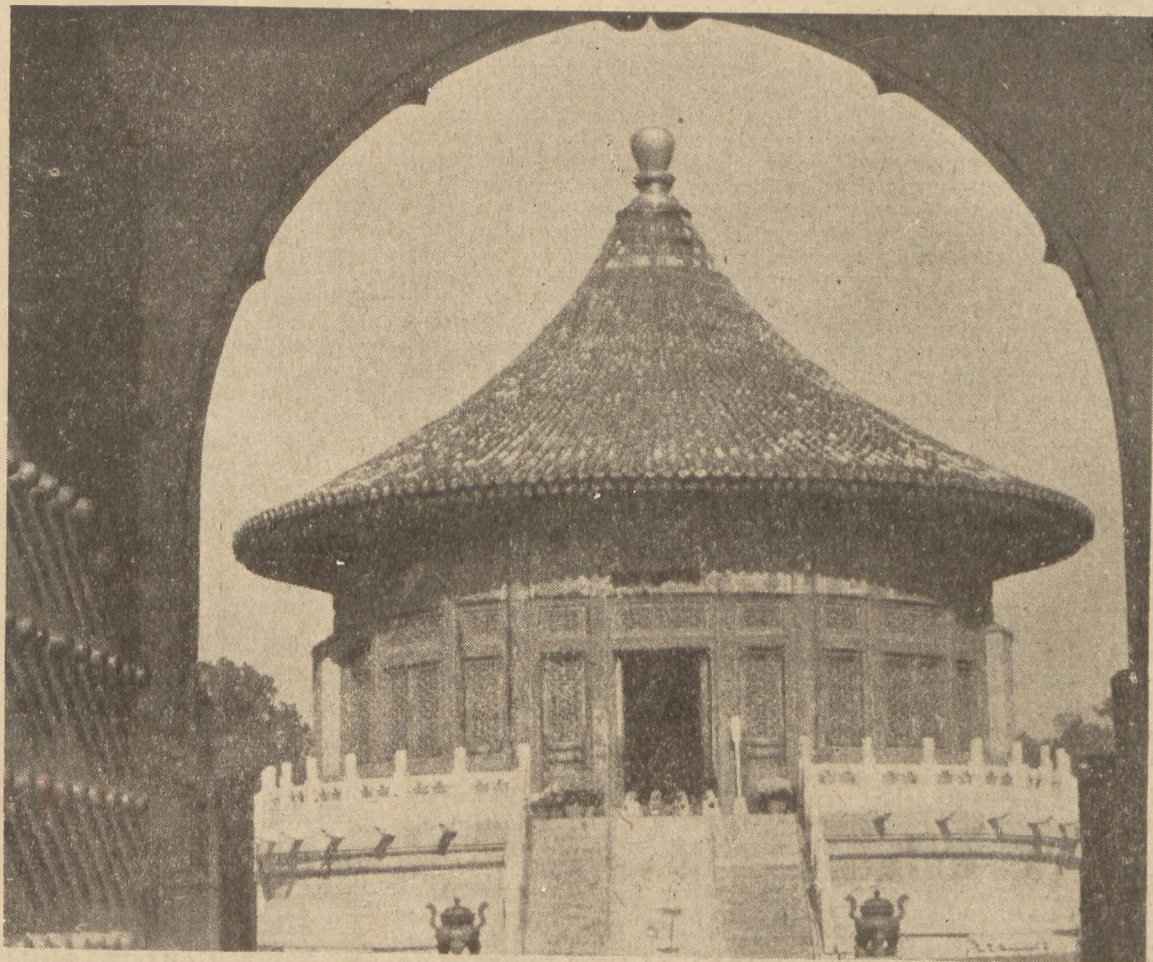
Przykładowo wziąłem czterdziesty
któryś równoleżnik. Równie dobrze
mogłem wziąć każdy inny, a więc
dajmy na to trzydziesty któryś. To
równoleżnik Szanghaju i Lhasy, sto-
licy Tybetu, siedziby Dalaj-lamy
uosabiającego dla swoich podda-

nych i zarazem swoich owieczek
wcielenie samego boga na ziemi.
Czas historyczny Lhasy i czas hi-
storyczny Szanghaju też więc są
inne. Oczywiście, że Mandżuria z je-
dnej strony a Dżungaria z drugiej
czy też Kiangsu a Tybet to są bie-
guny. Pomiędzy takimi terytoriami
biegunowo różniącymi się rozwojo-
wym stadium rozciągają się jeszcze
prowincje czy miasta na najróżniej-
szych pośrednich stopniach. I o tym
zróżnicowaniu zwłaszcza należy
pamiętać, kiedy się słyszy, że Chi-
ny nie są jednakowe. O tych od-
miennościach i stopniach. One za-
skakują i mylą. Fascynują i obala-
ją każde uogólnienie. I one w jesz-
cze wyższej mierze potwierdzają wy-
nik obrachunkowy Putramenta o
trzydziestu dniach w Chinach i o
jednym w Polsce. Lecz na to, żeby
taki dzień matematycznie pasował
do tych trzydziestu, musiały być
szczególny. Musiałaby to być jakaś
składanka. Z przeskokami co parę
godzin do innej epoki. Od najdaw-
niejszej do najpóźniejszej. Od epoki
Piasta Kołodzieja do epoki marte-
nowej Nowej Huty.

Uprzemysłowione oraz cywilizo-
wane wybrzeże i należące do za-
mierzchłych epok dalekie wnętrza
kraju mają nie tylko Chiny. Podobne
zjawisko występuje gdzie indziej.
Choćby w Indiach czy Ameryce Po-
łudniowej. W Indiach także kontra-
stują z sobą plemiennymi czy udu-
kaczkowie i włókiennicze czy por-
towe giganty. Tak samo jest w
Ameryce, gdzie różnice pomiędzy
każdą z metropolii a interiorami są
olbrzymie. Pewnie więc też Jerzy
Putrament, gdyby mu przyszło ku
satysfakcji jego czytelników pisać
kiedyś „Notatnik indyjski” lub
„argentyński” czy „brazylijski”, pow-
tórzyłby swoją kalkulację. Ale przy
pewnych zbieżnościach, jakież od-
mienności! Tak znaczne, że nawet
sam nasz stosunek do kontrastów
indyjskich albo południowo - ame-
rykańskich z jednej strony i kon-
trastów chińskich z drugiej jest in-
ny. Pierwsze z nich wydają nam
się do pewnego stopnia historycznie
uzasadnione, te drugie mimo wszy-
stko niepojęte!

Bo kontrast najistotniejszy i naj-
bardziej zastanawiający, kiedy mo-
wa o Chinach, to przecież nie kon-
trast pomiędzy nierównomiernie ro-
zwinętymi prowincjami i ich geogra-
fią, lecz kontrast pomiędzy różnymi
epokami ich historii. Pomiędzy epo-
kami rozkwitu Chin i — martwoty.
Pomiędzy tymi wiekami w których
cywilizacyjnie przodowały światu,
a tymi, które uczyniły z Chin kraj
opóźniony. Bo Chiny stanęły. Przy-
szło jakieś stulecie i one się zatrzy-
mały. Nie były to wydarzenia nagłe.
Proces musiał trwać. Wykres cho-
robowy wznosił się i opadał. Przez
czas pewien jak w bardzo starym
sadzie niektóre drzewka wciąż prze-
pięknie owocowały. To także myli.
Najczęściej słyszy się od history-
ków, że załamanie przyszło za ostat-
nich Mingów. Jest to wiek XVII.
Ale pod koniec wieku XVIII Chi-
ny z powrotem błyszczą. Na krótko,
ale blaskiem wspaniałym. Dopie-
ro wiek XIX jest dla nich wie-
kiem w pełni trupim.

(Dokończenie na str. 4 i 5)



Srodkowa rotunda Świątyni Nieba w Pekinie

Fot. Jerzy Zarzycki

ROMAN BRATNY

Kpiny z dwóch „sumień”

HOWARD FAST

Czwarty list literacki
Z Nowego Jorku

W nocy o godzinie 2 minut 15, wskutek nieostrożności, która z kolei była wynikiem dezorganizacji, niedbalstwa i rozprzężenia dyscypliny służbowej, na statku „Radziecki Azerbejdżan” nastąpił pożar i wybuch, powodując śmierć 27 ludzi. Nieszczęście może się zdarzyć wszędzie i zawsze. Ale w danej sprawie tragizm wypadku nie polega tylko na samym fakcie wybuchu, katastrofy i zatonięcia statku „Radziecki Azerbejdżan”. Tragizm polega na tym, że statek „Radziecki Azerbejdżan” w chwili katastrofy nie był sam, że w odległości 200 metrów holował go statek „Rada”...

Co robi dowództwo „Rady”? Rąbie linę holowniczą, bierze pełny kurs, rzuca „Radziecki Azerbejdżan” na pastwę losu i ucieka, ucieka, ucieka... „Pełny kurs” — żąda kapitan Kriwonosow, „pełny kurs” — żąda kierownik polityczny Miguszczenko, „pełny kurs” — żąda mechanik Czebotariw. Ci dbają tylko o to, by możliwe najwyżej, pełnym kursem oddalić się od miejsca katastrofy.

Oto parę zdań z oskarżycielskiej mowy prokuratora Wyszyńskiego w wielkim procesie Żeglugi Kaspijskiej w roku 1935.

... Marynarz Kondratiew zeznał w śledztwie, że żądał, by Kriwonosow pozwolił spuścić szalupy i pójść ludziom na ratunek, ale gdy weszli na mostek, kapitan rozkazał im z mostku zejść i nie przeszkadzać mu, bo on sam wie co robić. I my, oskarżony Kriwonosow, wiemy co z wami robić. Żądam rozstrzelania tego zdradcy!

Głosy: „słusznie” i oklaski, które zerwały się z sali sądowej w tym okrutnym z pozoru miejscu przemówienia — świadczyły, że głos prokuratora i prawa był zgodny z głosem sumienia narodu.

Istnieje jednak instancja apelacyjna, która zabiera głos często po Sądzie Najwyższym, pełni funkcję ziemskiego „Sądu Ostatecznego”: tą instancją jest — literatura. Po skazaniu Dreyfusa Zola napisał swoje „Oskarżam”, i ten akt oskarżenia francuskiej „sprawiedliwości” stał się w historii i wobec historii — gdy akta fałszywego procesu stanowią co najwyżej curiosum w muzeum bezprawia. W procesie w sprawie zatonięcia statku „Radziecki Azerbejdżan” odezwała się również ówa instancja, która działa w każdym kulturalnym społeczeństwie. Tym razem literatura potwierdziła wyrok sądu. Nie sama katastrofa statku „Radziecki Azerbejdżan” ale dezercja statku „Rada” stanowią o tragizmie wypadku. Nie tylko ów własnie tragizm stanowił o dramatyzmie książki „Statek Derbent” — powieść, w której Jurij Krymow potwierdził oskarżenie Wyszyńskiego, musiała ukazać całą paskudną rzeczywistość Żeglugi Kaspijskiej, w której „rok 1934 przyniósł 277 awarii, przy czym główną przyczyną awarii było niedyscyplinowane załogi... Rok 1935 przynosi pogorszenie sytuacji na Morzu Kaspijskim. W ciągu ośmiu miesięcy tego roku mieliśmy już 277 awarii... Liczba awarii rośnie. Jeżeli w czerwcu było ich 20, to w lipcu — już 36... Załogi wielu statków do przewożenia ropy naftowej są w poważnym stopniu zaśmiecone chuligańskimi elementami. Wskutek karygodnego niedbalstwa w doborze załogi na statku, flota kaspijska cierpi na płynność kadr... Pędząc lustrację jednego statku okazało się np. że personel tego statku zmienił się w ciągu półroczia trzy razy...”

Wszystko to mówi prokurator Wyszyński. Wszystko opisuje Krymow. To już nie płonący statek, ale tonąca w chaosie i bezholowatym ogromna Żegluga Kaspijska wola o pomoc. I pisarz tej pomocy nie odmawia. Trudny, posępny temat, ale piękna, natchniona wielkim optymizmem książkę wymieniającą dzieła z trybuny II Zjazdu Związku Pisarzy Radzieckich wśród kilku klasycystycznych dzieł radzieckiej literatury.

Okazało się, że pisarz jest prokuratorem o największych uprawnieniach. bo — jak Zola — może i sama prokuratura postawić w stan oskarżenia; ale jest też najwyższym z ramienia ustroju obrońcą, bo może — wsparty o swą wyostżoną przez intuicję wiedzę o człowieku — nawet oskarżonego uczynić bohaterem. Wszak pięciokrotnie karęgo chuligana Buzulukowa odnajdujemy na kartach „Statku Derbent” w osobie czarującego odrędnego Hussejina. Ale żeby być o w y m i e n i a n y m „Sądem Ostatecznym”, by książką stworzyć niebo i piekło dla sądzonego człowieka, pisarz musi być sumieniem swojego narodu.

PROCES PRZECIW
„OPTYMIZMOWI”

Niedawno pewien aktywny pisarz, chętnie uprawiający reportaż, wyznał z dyskusyjnej trybuny Związku Literatów, że pisze zaledwie co trzeci, co czwarty z dyktowanych mu przez obserwację tematów, do tego stopnia kreduje go niezwykle wczulone sumienie. „Sumienie” owo wczulone jest tak neustraszczone na temat: „c o w o l n o p o w i e d z i e ć”. Wolno? W znaczeniu: na co „na ile” pisarz może sobie pozwolić przy ujawnianiu wobec społeczeństwa tak zwa-

nanych „ciemnych stron życia”, by było to bez szkody dla społeczeństwa? Z przebiegu dyskusji wynikało, że literat — reportażysta nie ma wątpliwości, iż należy publicznie obnażać „braki” takie jak brak pasty do zębów, ale w sprawach odrobiny poważniejszych traci już owo jasne rozeznanie. Jako przykład złożoności tych zagadnień przytoczył przygodę pewnego dziennikarza, który przybywszy do PGR celem napisania małego obrazka poświęconego zwycięskim zmaganom młodych kadr kierowniczych z przyrodą — ku swej radości zastał żniwa na ukończeniu. Zasmucił się wprawdzie, stwierdziwszy, że młody i niedoświadczony kierownik gospodarstwa w obawie przed deszczem kazał żąć całkowicie niedojrzałe zboża, ale napisał promienny reportaż pt. „Jak młody kierownik gospodarstwa wygrał zwycięgę z deszczem”.

Oczywiście naszemu pisarzowi pełnemu wątpliwości nie podobał się wyczyn dziennikarza. „Z drugiej jednak strony, czyż mógł on opisać to co zastał?” zdawał się zapytywać pisarz rozkładając ręce. Potrzeba alarmującego reportażu o niebezpieczeństwach wiążących się z gospodarowaniem niedokształconych kadr w PGR-ach nie wydała się owemu pisarzowi bynajmniej oczywista. Jego zdaniem funkcja wychowawcza reportażu zmusza piszącego do maksymalnego „samokontroli”, by „nie dostarczać wrogowi argumentów”, „nie robić złego wrażenia” itp. Oczywiście wszystkie te leki można ubrać w niezwykle twarzowe „sumienie pisarskie”: można nawet... milczeć niejako „z ramienia owego sumienia”.

Otóż wydaje mi się, że gdy pisarz milczy, to właśnie milczy jego sumienie. Pod pretekstem „sumienia” zamilczeć — schować do lamusa pamięci ów „co drugi” nieruszany temat — to po prostu nonsens pojęciowy. To tak jak pod pretekstem miłości ojczyzny... zdradzić kraj.

Jeżeli t y l k o archiwa sądowe będą przechowywały wyraz sumienia społecznego, jeżeli wielką pedagogikę literatury zastąpią małą pedagogiką litery prawa — społeczeństwo na tym straci. Kodeks karny nie zastąpi literatury, jak prokurator nie zastąpi pisarza. Reportaż jest rodzajem literatury, człowiek o którym mówię jest wybitnym pisarzem, sądzę więc, że mamy tu prawo do uogólnień. Niedawno pisał Putrament, jak „hepie-dactwo” — pogoń za „szczęśliwym” zakończeniem — zubożyło literaturę. Nie ma potrzeby przypominać, jak „położyło” propagandę.

Małe „sumienie” złego propagandy nie utrwalilo przecież w umyśle obywateli obrazu jakiejś dziwniej, nieznanej z życia krainy szczęścia i dosytu, a nauczyło lekceważenia wartości poznawczej i artystycznej reportażu krajowego. Nigdy też i w żadnym wypadku owe małe „sumienie” nie zastąpi wielkiego s u m i e n i a p i s a r z a.

A tylko w wyjątkowym wypadku (mój polemista stanowi bowiem wyjątek) można wierzyć w istnienie tego małego sumienia, niezależnie od oportunizmu. Owo małe „sumienie” mówi „co mówić wypada”, nie zważając w istocie rzeczy na istotny sens owego swego savoir vivre w stosunku do prawdy. A sens ów jest wrogi prawdziwie i wrogi misji wychowywania ludzi z prawdziwego zdarzenia przykładem prawdziwych wydarzeń.

Pisarz o którym wspominałem przemawiał szczerze. Nie jest oportunistą. Okres fałszywego pojmowania pseudowychowawczej funkcji „małego hepie-dactwa reportażowego” wyrobił w nim samym ów uraz, który obecnie prezentuje jako twarzowe „sumienie”.

W tym właśnie okresie rozpanoszonego „małego hepie-dactwa” wpadł mi do ręki „Statek Derbent”.

Entuzjazm, z jakim czytałem te klasyczne „powieści o współzawodnictwie”, wynikał z poczucia najzupełniejszej harmonii między postulatami realizmu socjalistycznego, a wcieleniem ich w kształt artystyczny tej książki. Wątek — tfu! „produkcyjny”, prowadzony przez ludzi bohaterów i podłych, wielkich i małych, tak określający ich indywidualny udział los, że jest normalnym „wydarzeniem” akcji, a nie relacją sił społecznych...

Co porывало w tej powieści? Krymow wiedział, że dzięki sile ideologicznej może się nie bać obrazu słabości dźwigających ją ludzi i ich błędów. Tymczasem my nie rozumieliśmy, że właśnie dzięki generalnej racji naszego ustroju możemy się nie bać obrazu żadnego, strasznego nawet szczegółu. Ze czytelnik otrzymując w reportażu czy książce obraz jakiegoś błędu, wie że ujawnienie go to obietnica likwidacji, wie że „happy end” do naszych ludzkich błędów dopisuje ponad ludzką małością logika sprawiedliwego ustroju. Reportaż nieśmiało spełniający o sprawach godnych krytyki, to dowód rzeczowy na to, jak pseudosumienie pseudopropagandyści miszcy pisarza.

Co krok spotykamy jeszcze „Żeglugi Kaspijskie”. Stan jakże wielki jeszcze PGR-ów pozwolił by zebrać materiał nie mniej groźny, trudny i „niebezpieczny”.

Zebrać? Na co? Pisarze nie są pracownikami aparatu prawa — więc nie „na mowę prokuratorską”. Pisarz są jednak pracownikami

innego, swego „aparatu” sprawiedliwości, więc zebrać te materiały... „na dzieła literackie”.

Mówimy o książkach, ale nie znaczy to, by reportaż różniący się od powieści czy opowiadania wielu elementami techniki pisarskiej i funkcji społecznej miała różnić od nich także... postawa moralna piszącego.

Pytanie pisarza: czy pisać o tym? — wskazuje, że jego poczucie moralne, które winno się streszczać zawsze w imperatywie „pisać” — jest jakos zachwiane. Pisarz powinien mieć siłę, by oprzeć się inspiracji fałszywej propagandy, powinien mieć siłę, by w oparciu o własne głęboko przemyślane racje jawnym publicznym działaniem wpływać na linię inspiracji tak, by w końcu pokryła się z jego linią wewnętrzną. Inaczej w historii literatury w najlepszym razie zasiądzie na ławie współoskarżonych.

PRZECIWI REMILITARYZACJI
PONURACTWA

Obok „sumienia”, które nazywam „twarzowym”, istnieje dziś inne „sumienie” — modne. Wobec plajty lakiernictwa, schematyzmu i wazelinarstwa powstał kurs na „śmiałość”, „bezkompromisowość” postawy

prawdę” zbywają wzruszeniem ramion. Po namyśle dorzucają jeszcze: „nam chodzi o typowość” — i w imię tej typowości „zmuszają” do lakiernictwa.

Otóż to. Czy mamy praw żądać ograniczenia prawdy szczegółu w imię tego co typowe? Nie. Ale mamy obowiązek w imię prawdy naszego życia ustawić ów „szczegół” na jego ogromnym tle.

Akta Sprawy Żeglugi Kaspijskiej zawierają taki fragment mowy oskarżycielskiej: „16 maja 1932 r. na Oceanie Indyjskim tankowiec „Radziecka Ropa” spoztrzęgłszy pożar trawiący i niszczący okręt oceaniczny pomimo strasliwego niebezpieczeństwa grożącego statkowi nadładowanemu benzyną rzucił się na pomoc. W ciągu około dwu—trzech godzin ofiarnej, bohaterskiej pracy „Radziecka Ropa” — pierwszy z wszystkich statków idących na pomoc „George Philippardowi” — ocalała 437 ludzi. Tak postępują bohaterowie”.

Zaraz, zaraz, czyżbyśmy pomylili akta sprawy? Chociaż mowa tu o wydarzeniach rozgrywających się daleko od Morza Kaspijskiego, na Oceanie Indyjskim — jesteśmy wciąż przy sprawie „Rady”.

A więc nawet autor oskarżycielskiej mowy sięga o trzy lata wstecz,

JAN KOPROWSKI

DRZEWO DZIECIŃSTWA

Szukam tej gruszy w polu. Zda się, że przed wickiem babka moja czytała mi pod nią Dickens. Pora była późnawna. Widzieliśmy jesień, jak się jasnymi niemi po miedzach waleśa.

Plakałem nad losami chłopca Copperfielda, rozmazując rękawem łzy, co serce krusza. Babka, gdy to spostrzegła, sama rychło milkła i siedzieliśmy długo bez słowa pod gruszą.

Gruszo męgo dzieciństwa, gruszo drobnolista, jeszcze mi dołądż szumisz jako rzeka bystra. Jeszcze w jesiennym cieple lekkie liście ronisiz i po miastach mnie szukasz, po ulicach gonisz.

Dzieciństwo nasze nigdy nie było szczęśliwe, podówczas byli wszyscy z nas Copperfieldami. Więc czemu to co przeszło, takie ciągle żywe i jak wóz w naszą pamięć wżyna się kółami.

Lecz gruszę mą zagarnął czasu dawny strumień i choć jej ciągle szukam, odnalazć nie umiem. Może tę gruszę ścieło, miedze zaorano, może na tamtym miejscu dom ogromny stanął.

Ślawajcie domy nowe! Mknijcie w dał pociąg! I miedze czas zaorać i złazęcy zagony. A ja w jesiennie cieple na rozległe łąki pójść świat obejmować wzrokiem, uciuszony.

pisarskie. Pisarz o „modnym” sumieniu to ten, który wraca z terenu z twarzą pooraną zmarszczkami najżywej troski i opowiada półgłosem o rozmaitych „klapach” lub w najlepszym razie strasliwych skandalach. Często wręcz nie ośmieli się siadać do pisania zanim nie wytopi jakiegoś skandalu de publicis, istnego odpowiednika „trupu w wannie” burzazynnej prasy. Koneksje takiej postawy ze „skandalistami” w reportażu burzazynnym — w prozie prowadziłby chyba w kierunku „programowego pesymizmu” jako wyniku „kursu na pogłębienie”.

Kiedyś Tadeusz Borowski na zjeździe młodych, na którym „intelektualiści” prawie się bili wobec różnych zdań, wyraził się, że „pisarz musi patrzeć demokracji ludowej na palce”. Borowski, naówczas pisarz debiutujący opowiadaniem obozowymi, w których — celem wyraźnej szlachetnej prowokacji moralnej — zaakcentował animizm człowieka sprowadzonego przez obozową tresurę do stanu pierwotności, autor antyfaszystowski ostrzegający świat, że ludobójstwo wiązało się z zabijaniem w człowieku istoty moralnej — ten Borowski stając w obliczu macków „planowej apoteozy naszej rzeczywistości” miał prawo do takiego polemicznego sformułowania. Miał to subiektywne prawo, bo wychodząc z programu Żeremskiego, że „trzeba szarpać rany, by nie zabiłyśmy się błoną podłości”, wiedział, że trzeba nieraz do krwi zadrapać i zdrowe ciało, by nie powłókił go tłuszczyk moralnej obojętności. Miał to prawo, bo mówiąc, że „pisarz ma prawo patrzeć demokracji ludowej na palce” miał przed sobą jako pisarz lata roboty, w której sam stał się owymi „palcami demokracji” chwytającymi za serce. Swoją pracą dowodził, że pisarz może być oskarżycielem o największych uprawnieniach, byle uderzał z pozycji naszego u s t a w o d a w s t w a m o r a l n e g o, z pozycji naszych idei. Jest to postawa tak różna od postawy modnego „sumienia” zaczepno — skandalicznego, jak różna jest epopea literacka od interwencyjnej notatki reporterskiej. W tym drugim wypadku „wagę sprawy” stanowi jedynie rozmiar skandalu. Stąd wyrodnienie obrazu rzeczywistości, gubienie tego co typowe w tym co skandaliczne. Oczywiście powie ktoś na to, że ile razy chcą „zgromić” pisarza za pesymizm czy nieprawdopodobieństwo, tyle razy jego argument, że „to co opisałem zdarzyło się na-

poprzez morza, i stamtąd czerpieł natchnienie, aby uzyskać pełny obraz prawdy. Już widzimy popłoch pisarza o „sumieniu” modnym. Jak to? Do uzyskania pełni obrazu na Morzu Kaspijskim potrzebny jest Ocean Indyjski? Tak. Nie wystarczy morze ponurackich faktów, potrzebny jest ocean mądrości idei i ustroju. Jeżeli prokurator wznosi się ponad punkt widzenia reporterzkiej dosłowności, bierze nasświetlające ją elementy „z sąsiedniego oceanu”, to robić to musi z reguły pisarz, pragnący być czymś więcej jak rekwizytem zasługujących na interwencję skandali. Musi to robić przede wszystkim w fazie organizowania materiału — a to w celu zdobycia pełni własnej orientacji w zagadnieniu. Postulat ten nie oznacza naiwnego żądania urojonej i często prowadzącej do artystycznego pudła równowagi elementów i równowagi postaci pozytywnych i negatywnych w dziele. O tę „równowagę” chodził w samym pisarzu. Prawda, jaką niesie pisarz, to wiedza zgodna ze społeczną wiedzą o faktach, i wiara, i nadzieja, i miłość, które tę wiedzę powszechną uzupełniają, indywidualizując ją przy tym. A więc sumienie — to bez cudzysłowów — pisarza to po prostu wydoskonalone wiedzą i intuicją sumienie obywatelskie.

Marks rzucił kiedyś burzazynnym demagogom „sumienia” takie sformułowanie: „co wy uważacie za słuszne lub sprawiedliwe, to nie ma znaczenia. Idzie o to co jest konieczne w danym systemie produkcyjnym”. Jasne było w dobie kapitalizmu, że etyczne dezyderaty „sumienia” „przywzwoitości” czy religii nie dyktowały w istocie nawet norm prywatnego postępowania ludzi w społeczeństwie walki konkuencyjnej, gdzie człowiek człowiekowi. Dośledził do głosu system produkcji, w którym rządzące „konieczne” jest sprawiedliwe. To co my „uważamy za słuszne i sprawiedliwe”, ma znaczenie, bo jest właśnie w zgodzie z „koniecznym”. Tym większe są obowiązki sumienia obywatelskiego, bo sumienie to ma dyktować normy praktycznego postępowania, które wpływa na życie.

Wiara w tę właśnie zgodność praw sumienia z prawami rzeczywistości nakazuje optymizm nawet tam, gdzie sumienie nakazuje bić na alarm. Nie jest to optymizm lakierni — to optymizm serca i umysłu, to optymizm wspomagający literaturę, a więc i reportaż.

Roman Bratny

Każda epoka w życiu kraju zwykła wydobywać na powierzchnię swoich rzeczników niezależnie od tego, czy będą to pojedynczy pisarze czy też grupy pisarzy. To

co mówią, ma często o wiele większą wagę aniżeli słowa meżow stanu czy polityków, gdyż ludzie ci czują się zobowiązani wobec swej sztuki i przynajmniej częściowo odczuwają potrzebę odzwierciedlania prawdy o społeczeństwie, z którego pochodzą. W chwili obecnej jest rzeczą niezwykle interesującą poddać badaniu owo specjalne kwantum prawdy w najnowszych utworach trzech starzejących się ludzi, których wciąż jeszcze prezentuje się światu jako najwybitniejszych przedstawicieli twórczej literatury w Ameryce.

Mówię o Ernestie Hemingway, Johnie Steinbecku i Williamie Faulknerze. Spośród wszystkich żyjących pisarzy ta trójka jest najwyższej ceny. Na ich temat ukazuje się większość rozpraw, oni są najbardziej poszukiwani, najcenniejszymi zagadkami krytyki w niezlicznych pismach literackich, które się jeszcze w Ameryce mogą utrzymać. Oni dostępują najwyższych szczytów, jakie ma do rozdania tak zwany wolny świat. Trójka ta posiada to co nazywamy „wytrwałością”. Innymi słowy, choć od czasu do czasu na horyzoncie literackim ukazuje się ktoś młodszy — w rodzaju Jamesa Jonesa, autora „From Here to Eternity” — kto wypływając na powierzchnię życia literackiego dzięki nowym eksperymentom w dziedzinie brutalności i pornografii staje się na chwilę literackim bożyszczem, wydarzenie takie wywołuje stale zakłopotanie krytyków. Krytycy ci za każdym razem z widoczną ulgą wracają do wymienionej trójki. Kiedy Ernest Hemingway otrzymał nagrodę Nobla, cały świat krytyki w Ameryce odczekał uspokojony, widząc w tym potwierdzenie własnych sądów.

Najnowszy utwór Ernesta Hemingway „The Old Man and the Sea” (Stary człowiek i morze) to bardzo uboga powieść, a raczej długie opowiadanie. Naprawdę gwałtownie reklamowane, ukazało się w czasopiśmie „Life”, później w wydaniu książkowym stało się bestsellerem. Czytałem to opowiadanie jeszcze przed jego ukazaniem się w druku i muszę przyznać, że lektura jego nie postawiła mnie przed zadaniem tak trudnym jak ostatnia książka Johna Steinbecka „Sweet Thursday”, chociażby dlatego, że budziła nie została tu tak szeroko rozważana. Najnowsza powieść Williama Faulknera „A Fable” — to utwor po- w a ż n i e j s z y, zasługujący na poważniejsze traktowanie; trzeba będzie przeanalizować go osobno chociażby ze względu na talent poruszający się na zupełnie innej płaszczyźnie niż talent Steinbecka i Hemingwaya. Poza tym nie można stawiać na równi rozdzierającego serce mgłnicatwa mr Faulknera z mniej lub bardziej żenująco powierzchownością utworów Hemingwaya i Steinbecka.

Aby choć w przybliżeniu zrozumieć Hemingwaya i Steinbecka, o ile to w sensie literackim w ogóle jest możliwe, trzeba zbadać ich rozwój polityczny. Jakkolwiek tu i ówdzie metoda taka wywołuje zastrzeżenia, jest ona w historii literatury angielskiej i amerykańskiej całkowicie usprawiedliwiona i w ogóle umożliwiała dopiero zrozumienie większości wielkich pisarzy naszego narodu. Steinbeck ma lat 52, Hemingway skończył wkrótce 57. Choć różnica wieku wynosi tylko pięć lat, obu pisarzy dzieli całe dziesięciolecie pracy. Hemingway to — jeżeli można tak powiedzieć — produkt lat dwudziestych, owego okresu po pierwszej wojnie światowej nacechowanego cynizmem i otępieniem, natomiast Steinbeck zaczął pisać dopiero w okresie kryzysu lat trzydziestych i w tym okresie stworzył swe najojczystsze dzieła. Jeżeli przez okres dojrzałości chce się rozumieć ów punkt zwrotny w życiu pisarza, kiedy zaczyna on pisać o ludziach działających w świecie i rozumieć te sły, to nie wolno przeoczyć, że i Hemingway przeżył ów okres kryzysu, że odkrył robotnika i chleb przez tego robotnika zjadany, że wreszcie poznał w Hiszpanii ten brud, który wszędzie rozprzestrzenia faszyzm. Na te tych doświadczeń Hemingway napisał „To Have and Have not” (Mieć, nie mieć) oraz „For Whom the Bell Tolls” (Komu bić dzwon). Obie te książki jednak, tak samo jak „Grona gniewu” Steinbecka, opierały się na zbliżeniu empirycznym, na powierzchownym widzeniu, a nie na istotnym związku z klasą robotniczą czy też na zrozumieniu jej historycznej roli. Podczas gdy klasa robotnicza zdolała bardzo niewiele dla Williamsów Faulknerów, w czym tkwi największy tragizm tego pisarza — i el dwaj pisarze, Hemingway i Steinbeck, posiadający o wiele mniejsze talenty niż Faulkner, zawiązywały własne klisze robotnicze — ów krótki okres swojej rozpoznawającej się wielkości i dojrzałości. Obaj są wprost klasycznym przykładem ścieśnienia związku między twórczością literacką człowieka a zdradą ruchu, który na chwilę przyczynił się do tego, że twórczość ta stała się wielką. Ow Steinbeck, który odwdzielił Związek Radziecki i potem wyłącznie ze względu na swe własne bezpieczeństwo w przyszłości wypowiedział się o tej wizycie wybitnie nieprzychylnie, ow Steinbeck, który zeliży najsłabsze rewolucyjne tradycje ludu meksykańskiego i we własnym kraju odwrócił się od potężnej walki o pokój i demokrację, ow Steinbeck jest duchowym krewnym owego Hemingwaya, który dopiero niedawno wrócił z frankistowskiej Hiszpanii, by dla arcybogactw czasopism amerykańskich pisać o walkach byków w Madrycie, owego Hemingwaya, który w milczeniu i tchórzostwie stał z boku, kiedy podczas hiszpańskiej wojny domowej starych jego kolegów przesładowano, wtrącano do więzień, ocerziano i mordowano. Zaden z tych dwóch pisarzy, którzy tak łatwo przelewają chwytające za serce lzy literackie, nie urobił ani jednej lzy, nie wypowiedział słowa protestu, kiedy szlachetni i dobrzy ludzie, Juliusz i Ethel Rosenbergowie, szli na śmierć.

Tylko w tym kontekście można zrozumieć „Starego człowieka i morze”. Krótko mówiąc, chodził w tym najnowszym utworze Hemingwaya o rybaka z Kuby, który przez długi czas nie złapał ani jednej ryby. Jest głodny i nieszczęśliwy, tylko że ani głód ani nieszczęśliwość nie ma w książce Hemingwaya nie wspólnego z głodem prawdziwym i z prawdziwym nieszczęśliwem. Stary człowiek wyjeżdża na połow, łowi olbrzymią rybę i zabija ją wreszcie po wścieklej walce. Przywiązuje rybę do swojej łodzi i rusza w kierunku portu. Ale,

o zgrozo, kiedy przybywa tam następnego ranka, okazuje się, że mięso ryby pożarły rekiny zostawiając tylko szkielet. Oto cała historia — rozdział przez rozmaite uwagi natury filozoficznej, które robi Hemingway i rybak. Wszystko to utrzymane jest na duchowym poziomie dwunastolatka, tylko bez jego zdrowych obserwacji. Działko bez szczególnego charakteru. Może jakas matrona z Park Avenue uważa taką piplannę płynącą z ust rybaka na Kubie za prawdziwie podobną, ale jak długo na ziemi istnieje praca, żaden robotnik tak nie mówił.

O tym małym opowiadaniu nie ma więc wiele do powiedzenia, bo właściwie o niczym nie mówi. Mimo to i „Life”, i cała plejada naszych krytyków literackich uczucia je jako najwybitniejszy utwór naszej epoki, przy czym krytycy zaczęli się bawić w zgadywanego, jaki jest właściwie sens tego opowiadania. Na pierwszy rzut oka miało się tu po prostu do czynienia z bardzo długą nowelą, nie należąca do najlepszych nowel Hemingwaya, nowelą o bardzo ubogiej treści. Dlatego zaczęło się dozukiwać wewnętrznej symboliki. Rybakowi, rybce, łodzi zaczęło przypisywać jakieś cudowne własności. Nawet rekiny — przypuszczam, że z braku osób — poddano głębokiej analizie i objawiono nam, że chodzi tu o pełen głębokiego sensu traktat moralny na temat bezużyteczności wszystkich ludzkich dążeń. Ale głębożego sensu należy szukać nie w tej zaprawde dziecinno i bezzmysłowej historii, lecz w poniżeniu pisarza, który odwrócił się od najsłabszych dążeń i najdziwniejszych wałk ludzkości.

Najnowsza książka Steinbecka „Sweet Thursday” wyszła dopiero przed kilkoma miesiącami i krytyk „New York Times”, Charles Poore scharakteryzował ją jako niezwykle interesującą, najlepszy utwór Steinbecka. Inni krytycy natomiast nie potrafili się zdobyć na tego rodzaju hymny pochwalne. I słusznie, bo książka jest tak niedojrzała, infantylna, bezwstydna i oburzająca niemadra, że nawet nasi krytycy przyzwyczajeni do ostrych potraw — z trudem ją przełknęli. Ale jednak przełknęli i umiescili ją na liście „bestsellerów”.

Oto treść utworu Steinbecka. Miejsce akcji, tak samo jak w jego dawniejszej powieści „Ulica sardynek”, to wyspa w okolicy fabryk przetworów rybnych w miejscowości Monterey w Kalifornii. Rzecz dzieje się po drugiej wojnie światowej. Bohater Steinbecka, Dock, kierownik laboratorium na wyspie, wraca do Cannery Row. Wracają również do Cannery Row różne włości i obietnicy, by tam w dalszym ciągu podzić swój wiołogowski żywot. Zjawia się tam wreszcie Susie, nowa prostytutka zaangażowana do burdelu, na której skupia się całe zainteresowanie Steinbecka. Nawiasem mówiąc chorobliwe wprost zainteresowanie takich pisarzy, jak John Steinbeck, William Saroyan, Norman Mailer, prostytutkami — nie jest tylko ich cechą osobistą. Opisywanie seksualizmu odzwierciedla część kultury, którą reprezentują pisarze, i jeżeli w ostatnich czasach pewna ilość pisarzy wyłazi ze skóry, by wynaturzenia seksualne traktować jako tematy literackie (jak to czyni również Hemingway w „Across the River and Through the Trees” i Steinbeck w swoim ostatnim utworze) — odsłania to tylko subiektywną postawę tych pisarzy, lecz również ciężką chorobę społeczeństwa, w którym uprawiają swą twórczość literacką.

Utwór Steinbecka obraca się jedynie i wyłącznie dookoła wysiłków „mamek”, właścicieli burdelu, idących w kierunku doprowadzenia do małżeństwa między nową prostytutką Susie a marynarzem Dockiem, by w ten sposób wyleczyć Docka z jego powojennej melancholii. Wciąż, mówiące i filozofujące językiem profesora college'u, biorą w tym kleceni małżeństwa żywy i chętny udział. Aby ukazać w dołym świetle cnoty tych wiołogów, Steinbeck mówi: „Mac i inni chłopcy żyli tak długo w cieniu usławi dla wiołogów, że uważali je za ochronę. Ich talenty w dziedzinie kradzieży, oszustwa, leniuchowania, nielegalnych spisów i spryszczeń były przez mieszkanców Cannery Row nie tylko pochwalane, ale nawet uważane za coś, z czego w pewnym stopniu można być dumnym”.

Ala właśnie o tych mieszkancach Cannery Row, o robotnikach w fabrykach przetworów rybnych, o rybakach Steinbeck nie mówi ani słowa. Istnieją gdzieś na niewyrażym, zamglonym, tylnym planie, mówi się o nich od czasu do czasu, ale nigdy nie zjawiają się osobiste, tak samo jak miliony kobiet amerykańskich, które nie są prostytutkami, ciężko pracują i są tklwie kochającymi małkami, robotnicami, urzędniczkami i nauczycielkami. Steinbeck nie może sobie wyobrazić kobiety, która nie jest prostytutką, i nie potrafi o takiej kobiecie pisać. Nie może sobie również wyobrazić człowieka, który pracuje swą służą społeczeństwu i o nim także pisać nie potrafi. W książce jego nie ma też dzieci, nie ma wydrżonych wycpinających normalne życie. Żadna z ukazanych postaci osób nie ma celu, do którego warto by dążyć. Steinbeck zna tylko klisze filozofie swoich waga-budów i zdzi. Treść ideowa jest beznadziejnie zawiłana, kompozycja niezgrabna i beznadna, a nie łącząca całość z rzeczywistością — tak cienka, że Steinbeck musiał pewnego razu powiedzieć: „Są ludzie, którzy będą twierdzić, że całe to opowiadanie jest kłamstwem. Ale coś, co się nie wydarzyło, nie musi być koniecznie kłamstwem”.

Mark Twain uznałby utwór Steinbecka za książkę, która zaczyna się nigdzie i po bezzmysłowym zmarnowaniu czasu i wielkiej ilości stron tam też powraca. Poważna jej krytyka jest całkowicie niemożliwa i robitabli wrazenie, że dorosły chce być małe dziecko. Aby zasłużyć na krytykę, książka musi zdradzać przynajmniej dążenie do artystycznej doskonałości. Żadna z tych książek, o których tu mówię, do tego nie pretenduje. Są ubogie, nagie, ich małe patetyczne klisze mają ukazać silie witalną kultury. No cóż, kultura istnieje, ale zarówno Hemingway jak Steinbeck stracili wszelki kontakt ze zdrowymi siłami Ameryki i ludzkości.

Byłoby zabawne, ale nie przynosiłoby żadnej korzyści, gdybyśmy obie książki wiersz za wierszem poddali gruntownej analizie. Analiza taka tylko w bardzo niestanym stopniu przybliżałaby się do wyjaśnienia problemu. Nauczylibyśmy się wprawdzie niejednego, co

(Dokończenie na str. 7)

Ankieta „Nowej Kultury”

Pisarze wobec dziesięciolecia

JAN KOTT:



Bardzo długo nie chciałem na tę ankietę odpowiadać. Zmuszała mnie do rozważań gorzkich i drażliwych, które czasem znajdują ujście w rozmowie przyjaciół, czasem nawet wyrwają się jednemu z moich w publicznym dyskusji, ale bardzo rzadko przeznacza się je do druku. Krótko mówiąc, ankietę zmuszała mnie do odpowiedzi na pytanie: dlaczego przestałem być krytykiem literackim? Oczywiście nie przestałem nigdy pisać. Narodziła mi w ciągu dziesięciolecia półka z książkami i skłamałbym, gdybym powiedział, że jestem z tych książek niezadowolony. Ale skłamałbym również, gdybym powiedział, że mi te książki wystarczają, że nie wolabym zamiast odległych aluzji historycznych i literackich metafor mieć więcej książek wprost mówiących o współczesności, i to nawet nie o literaturze, ale o moralności i obyczajach, o prawdzie i fałszu, o wewnętrznych, nieraz dramatycznych konfliktach członka partii, o tym o czym się mówi w każdej prawdziwej rozmowie.

Miałem taki okres za sobą. Przez parę lat pisałem o tym co mi leżało na sercu i wiatr. Bardzo bym się śmiał, gdyby mi ktoś powiedział wtedy, że zostanę wkrótce uczonego filologiem i jednym z znawców tekstów osiemnastowiecznych. Ale nie należy nigdy śmiać się za wczesnie.

W Krakowie znalazłem się w pierwszym tygodniu po wyzwoleniu. Rozpłakałem się, kiedy zobaczyłem pierwsze numery lubelskiego „Odrodzenia”. Wydawało mi się to cudowne i niewiarygodne. W parę dni później leciałem już terkoczącym kukuźnikiem do Łodzi, gdzie miałem organizować „Kuznicę”.

Przełom ideowy miałem już za sobą. Zaczęły się już we Lwowie, ale szedł wolno i z bolesnymi oporami. Przyspieszyła go Warszawa, gdzie znalazłem się pod koniec trzeciej zimy wojennej. Moi przyjaciele z dawnego warszawskiego Koła Polonistów, których na progu wojny poznałem jako typowych radykalnych inteligentów — ten był formalistą, tamten neopozytywistą, trzeci konwencjonalista, czwarty nadrealista; Bóg jeden wie, ile było tych zmian — znaleźli się prawie wszyscy albo w Partii, albo pod jej bezpośrednimi wpływami. Zawsze czułem im bardzo wiele. Ileż nocy przegadałem wtedy na Tarczyńskiej u Wandę i Stefana Żółkiewskich. Rano z okna widać było koszar SS, cała uliczka pachniała benzyną i słodkim duszącym zapachem smarów.

Alte najwięcej nauczyła mnie okupacja. Dla mnie osobiście jedynym ocaleniem przed poddaniem się grozie, jedyną możliwością oparcia się koszmarami było przeświadczenie, że historia ma rację, że ma zawsze rację, że faszyzm zostanie zdruzgotany i że zdruzgotce go Czerwona Armia. Marksizm uczył mnie praw historii, pozwalał jej zawierzć. Kiedy wstąpiłem do AL, przestałem się bać.

Należałem do pokolenia, które pożywało obficie owoców z drzewa wiadomości dobrego i złego, czasem aż do niestrawności. Nigdy tak silnie jak w latach okupacji nie buntowałem się przeciwko filozofii i literaturze, która — jak pisałem wtedy — znieprawia uczucia i wyobraźnię, poraża wolę, koszmara stawa na miejscu racjonalnego i rzeczywistego świata. Była to filozofia i literatura, którą żyłem przez wiele lat i która kształtowała moją młodość. Osadziłem ją wtedy zbyt bezwzględnie, ale było to czasy wielkiego wyboru.

Zaczęłem wtedy pisać *Mitologia i realizm*. Do zadanej mi listy nie mam tak osobistego stosunku. Nie tylko dlatego, że była to moja pierwsza książka, jaka wyszła po wojnie. Napisałem w niej prawie wszystko co wiedziałem i co myślałem w tych latach. Nie była dla mnie nigdy paroma rozdziałami z historii literatury. Pisałem o ludziach i o książkach, których zacząłem nienawidzić zanim jeszcze zdołałem się całkowicie uwolnić spod ich uroku. Pisałem ją przeciw sobie albo przeciw dawnemu sobie. Była to książka zwiędzionych miłości. Może dlatego jest często niesprawiedliwa i tak wiele jest w niej z gorczy.

Pisałem o Gide’ie, Prouście i nadrealistach, o katastrofistach, o Conradzie i Malraux. Teraz może dziwić Conrad. Ale wtedy i jeszcze parę lat po wyzwoleniu Conrad był żyjącym pisarzem akowców, i to najgłębszych, najuczciwszych wewnętrznie spośród akowców. Odnajdował w nim obronę honoru, który także nie opuszczał aż do końca straconej pozycji, odnajdywali w

nim rozkochanie w wewnętrznym dramacie i uzasadnienie duchowego samotnictwa z całą pogardą dla wszystkich społecznych wartości. Odczytywali w Conradzie obronę moralnego prawa jednostki, która stoi przed i poza historią.

Okupacja była okresem próby dla literatury. Niewiele książek mogło jej sprostać. Z próby tej zawsze wychodzili zwycięsko Mickiewicz, Balzac i Tolstoj. Balzaka, Stendhala i Tolstoją chciałem przeciwstawić literackim mistrzom mojej młodości. Nie znalazłem jeszcze wtedy terminu realizm krytyczny. Pisałem o wielkim realizmie i o małym. Wielki ukazywał wprost prawa historii, pozwalał je odczytać nawet w gestach i strojach bohaterów. Takiej wtedy chciałem literatury.

Pisałem swoje szkice w bibliotece Uniwersytetu zajętego przez Niemców na koszarach i biura. Dyrektorem biblioteki był hiderowiec, głupi i niemrawy. Pracowało w bibliotece wielu dawnych kolegów. Łatwo było sfalszować przepustkę i za zwałami niemieckich kalendarzy nieraz robiliśmy „oświatowe” i czytaliśmy Lenina.

Pamiętam, że kiedy zacząłem pisać pierwsze zdania ostatniego rozdziału *Mitologia i realizm*, wyleciały w pokoju szyby. Wybuchło powstanie. Mieszkałem na Ochocie. W osiem dni później włosowcy opróżniali dom. W bramie odbywała się pośpieszna segregacja, co młodszych rozwalano z rękopisem książki nie rozstawałem się przez całe powstanie. Ale w tej ostatecznej chwili wydało mi się zbyt głupie i zbyt romantyczne, aby ginąć z własną książką w ręku. Książkę i palto zostawiłem w piwnicy. Gorzko potem tego żałowałem. Zwalazca z początku palta.

Duży fragment rękopisu książki, opalony na marginesach i przedarty, przyniósł mi po dwóch latach jeden z towarzyszy, któremu całą tę historię opowiedziałem w partyzancie. Były to już czasy „Kuznicy”. Z książki tej już i przed tym w jakiś sposób żyłem. Albo raczej nie żyłem. Powtarzałem jej doświadczenia. Ale mogły wystarczyć na krótko. Zaczynała się otwarta walka.

„Kuznica” rozkręcała się powoli. Zaludniał się dopiero dom na Bandurskiego. Stefan Żółkiewski organizował Rady Narodowe i przysyłał z Warszawy alarmujące listy. Dopiero po jego przyjeździe z zakucowatego jeszcze miesięcznika powstało prawdziwe pismo. Zaczęły się heroiczne okresy „Kuznicy”.

Byliśmy wszyscy tak nabici przymusowym milczeniem tylu lat, że wystarczyło dotknąć, aby biśnieła wielka publicystyka. Pisałem wtedy trzy, cztery, czasem pięć artykułów tygodniowo. Nie ja jeden. W wtorek układało się numer. W czwartek każdy przychodził z rękopisem.

Słowo „pasja” nie było jeszcze wtedy modne i nie deklinowało się go bez przerwy na każdym zebrań. Ale nie pamiętam w moim życiu okresu nasyconego tak, aż po brzegi, wewnętrzną pasją. Nie chcę pisać apologii pierwszego okresu „Kuznicy”. Robiliśmy wiele błędów: byliśmy bardzo niedoświadczeni, ale dla każdego z nas jest to okres najpełniejszego życia ideowego. I nie oddałbym tych lat za żadne inne. Czuliśmy się jak na froncie, naprawdę odpowiedzialni za wszystko co się dzieje w Polsce. Jednej nocy układało się plany bibliotek i czytelnictwa, rewolucji kulturalnej i wydania wszystkich dzieł Mickiewicza. Przeżyliśmy jak cios obuchem krakowskie zajścia i pogrom kielecki. Literatura była długo na ostatnim planie. Pisałem wtedy o prawie małżeńskim i ślubach cywilnych, o wydobyciu węgla i planowaniu, o akowcach i amnestii. Najbardziej jestem dumny, że użyłem, chyba pierwszy, terminu awans społeczny i nadałem mu znaczenie, jakiego do dziś używamy. Pisałem również o Balzaku i Prusie, ale nie to było najważniejsze.

Obiektywnie — racją ma chyba Wazyk — w swoim głównym nurcie boje „Kuznicy” były ideowym odpowiednikiem ostatniego etapu rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, która usuwała, i to z jakim trudem, zwałiska szlacheckiego zacofania i ciągle jeszcze trujących powiew faszyzmu. Pisma mikołajczykowski nie miał jawnie broniony band, w „Tygodniku Powszechnym” obrońcy kruchy ścisłali się z niewierzącymi liberałami, drobno-mieszczanami bzdura razem ze sklepikami na jednopiętrowej Marszałkowskiej. W spalonych gettach przetrząśnięta już była każda cegła, mała i wielka kanalia szła na Zachód, po nowy żer.

Mają jeszcze znanymi marksizm, doświadczenia radzieckie dla większości z nas były bardzo dalekie. Stawaliśmy się wyluskać racjonalne jądro z wszystkiego, co było kiedyś mieszczańskim postępek. Zalewającemu nas często po głowę mętnictwu przeciwstawialiśmy tradycje racjonalizmu. Szukaliśmy ich w pozytywizmie, ale stopniowo sięgaliśmy coraz dalej i głębiej, aż do Woltera i Diderota, aż do „Kuznicy” Kollatajowskiej. Nie przypadek stały felieton pisma podpisywany był przez wszystkich Kandyd. Dzieliłmi się i własnymi doświadczeniami. Nasza droga — pisałem już — do marksizmu i partii była pokrętna i długa. Apolinaire prowadził nieraz do Rimbauda, i

Rimbaud uczył dopiero rozumieć Majakowskiego. W nadrealizmie sam szukałem ucieczki przed potworną płaskością naturalistów. Tej filologii uniwersyteckiej z jej duchowymi „osobowościami” i zwykłym idealistycznym gledeniu przeciwstawialiśmy za czasów naszej młodości formalistyczne prace Winogrodowa i Szkłowskiego, albo rozważania fenomenologiczne „praskiego kola”. Dla wielu z nas konwencjonalizm był wyjściem z pragmatystycznej nudy i oddychaliśmy nim jak powietrzem filozoficznym. Odnajdowaliśmy rygorystyczne myślenia w neopozytywizmie, zanim Lenin zaczął nas uczyć dialektyki rewolucji.

Ale doświadczenia te były nie do przekazania. Nawet w tym, ile każdemu z nas pomogły. Nie były potrzebne. Zwalazca nie były potrzebne młodym. Droga ich do partii i do marksizmu również nie była lekka, ale na pewno była prostsza od naszej. I zupełnie inna. Już w drugim roku „Kuznicy” zaczęły się jatrzyć nasze stosunki z młodzieżą literacką. Uczciwie pisał o tych sprawach Braun w swojej odpowiedzi na ankietę. Mądrze i z wielką troską o prawdę — Wiktor Woroszyński w swojej „spowiedzi dziecięcia wieku”, jaką stała się jego przedmowa do Pism Borowskiego.

Każdy z nas z lat faszyzmu, wojny i okupacji wychodził z jakimś garbem i długo włócił go za sobą. Ale garby nasze i garby młodzieży były bardzo do siebie niepodobne. Cudzy garb jest często o wiele bardziej widoczny od własnego. Byliśmy dla młodych „inteligency” i wkładali oni w to słowo całą pogardę, jaką określenie to miało do tak niedawna. Później, w okresie zamętu i wzrastającej nieufności, uważali wielu z nas za podejrzanych politycznie. Na pewno niektórzy myśleli, i to zupełnie szczerze, że jesteśmy zamaskowanymi wrogami. To było bardzo ciężkie. Nam wydawali się młodzi zarażeni faszyzmem w najgłębszych pokładach życia osobistego. Albo przynajmniej zarażeni wojną. W tych warunkach porozumienie było trudne. Konflikt długo tajony przy pierwszej okazji wybuchnął jawnie. Nie był to oczywiście żaden z głównych konfliktów epoki. Ale gdyby istniały tylko główne konflikty, niepotrzebna byłaby chyba literatura.

Spory zaczęły się o dział poezji w „Kuznicy”. Ale przecież nie szło tylko o schodki Majakowskiego czy mniej lub bardziej klasyczne gusta Jastruna czy Wazyka. Spór dotyczył w istocie zagadnień moralnych. Sprawy życia osobistego i intelektualnego dojrzewania konfliktów moralnych i konfliktów ideowych nie zostały od wielu lat nawet muśnięte przez naszą publicystykę i powieść. Tak jakby ich nie było. I dlatego tak trudno zacząć o tym pisać.

Byliśmy grupą, w której mówiło się to co się myśli. Przynajmniej przez wiele lat. Szczerze ceniliśmy na równi z ideowością i uczciwością. Łączyła nas przyjaźń. Przyszedł już chyba czas, aby umieć odróżnić przyjaźń od kumoterstwa i wzajemną lojalność od wspólnego krycia łajdactw. Spieraliśmy się w „Kuznicy” o gusta i koncepcje, ale zachowywaliśmy głęboki szacunek dla własnych oporów, wahań i życia wewnętrznych. Uważaliśmy, że sprawy osobiste każdy sam musi dla siebie rozstrzygnąć i że nie nadają się one do publicznych roztrząsań i nie dadzą się załatwić przez głosowanie. Wcale nie chcieliśmy mieć we wszystkim jednakowego zdania, ceniliśmy różnorodność talentów i uśposobień. Mieliśmy do siebie duże zaufanie i chociaż wiele dróg się rozeszło, przyszłość pokazała, żeśmy się nie omylili. Łączyło nas dostatecznie wiele, aby długo prowadzić pismo o wyraźnym obliczu. Mógł z niego wyrosnąć i nurt literacki i kierunek artystyczny. Stało się inaczej.

Młodzi przeciwstawiali nam swoją bezkompromisowość. Polegała ona między innymi na wyciąganiu różnych spław życia osobistego jako argumentu w dyskusji ideowej i na cytowaniu publicznie prywatnych rymów. Uważaliśmy to za hańbiące. Ale nie chcę być niesprawiedliwy. Niewątpliwie dla wielu bezkompromisowość była tylko wygodnym frazesem, były całkowicie cyniczni, choć nawet nie mieli doświadczenia, aby to sobie samemu w najgłębszej nocy powiedzieć. Nie o nich jednak chcę pisać. Najuczciwsi łamali się ze swą bezkompromisowością jak umieli i jak mogli. Była bardzo abstrakcyjna, za trudna na młodość lat powojennych. Czasem, kiedy gwałtownie starła się z życiem, załoba okrywała całą polską literaturę.

W trzecim roku istnienia „Kuznica” zatraciła swoją bojowość. Ogarnął nas zamęt i coraz mniej jasno widzieliśmy dalszą drogę. Pamiętam jak wezwało mnie do Warszawy, bym napisał artykuł do „Przekroju” przed referendum. Proponowano mi, abym stwierdził, że nastąpił koniec przemian społecznych i że system trójsektorowy pozostanie niezmieniony na zawsze. Artykuł miał przemówić do kupców, do prywatnej inicjatywy, diabli wiedzą, do kogo jeszcze. Odmówiłem, ale wróciłem zlamany.

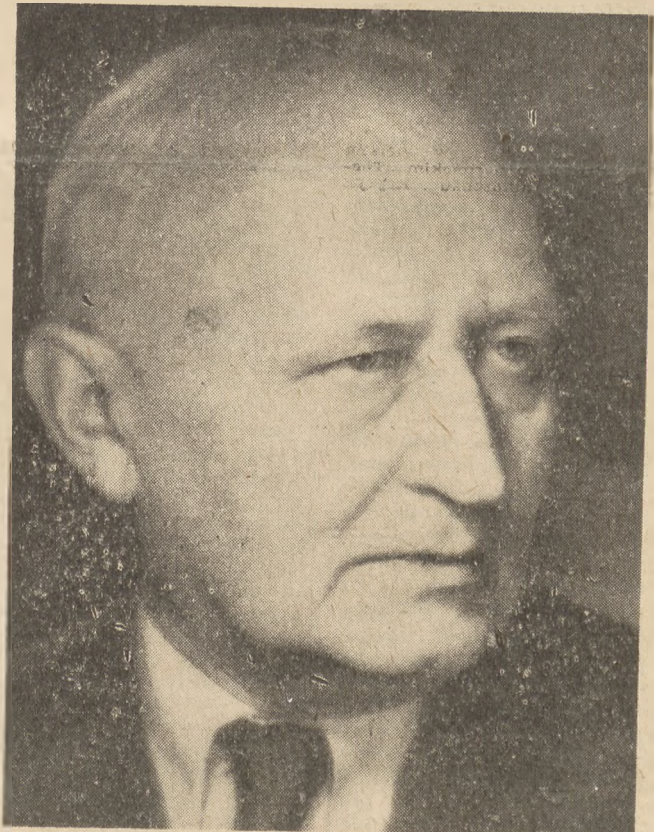
Coraz więcej pisałem o literaturze. Niewątpliwie walczyłem o realizm. Marzyłem mi się wielka współczesna powieść polityczna, coś na kształt Balzaka i Stendhala, nasycona aż po brzegi realizmem i jednocześnie pełna wielkich skrótów,

ukazująca bezbłędnie mechanizm społeczny od góry aż do dołu, drażniąca, odkrywczą i intelektualną. Tymczasem zaczęła się rodzić rzeczywista literatura. Przeczytałem z zachwytem *M e d a l i o n y* Nałkowskiej, jakby diamentem wyrżnięte na szkło. Zapowiedź realizacji własnych marzeń znalazłem w *M u r a c h J e r y c h a*, niewątpliwie przeceniłem wtedy ich nowatorstwo, ale do dziś uważam, że górują nieporównanie nad „*U c z t ą B a l t a z a r a*”. I to właśnie realizmem. W ostatecznym rachunku cykl Brezy więcej i konkretniej mówi o ludziach i czasach sanacji niż *U c z t a o* naszym pierwszym pięćcioleciu.

Podziwialiśmy wszyscy opowiadania Adolfa Rudnickiego i wybaczałyśmy mu nawet, że przy każdym chce umieścić swoją fotografię prawie naturalnej wielkości. Ale już wtedy mi sami próbowaliśmy go skłonić, aby szukał innej tematyki. Jakby wyniszczenie całego narodu to był za mało współczesny temat dla pisarza. Bardzo się wstydzę, że nigdy nie napisałem o Adolfe Rudnickim. W czasach „Kuznicy” wiele rzeczy przeszkadzało mi w pełnym odbiorze jego prozy, potem nie miałem po prostu odwagi. Ileż trzeba było wtedy gorzkich słów powiedzieć o sobie, o całej krytyce i o samym Rudnickim, który coraz bardziej grzęznął w smutnym rozkośnaniu nie tyle nawet we własnej szcucie, ile w samotniczej pozie niedocenionego artysty. A przecież naprawdę został zapędzony w ślepy zaułek pisarz, którego utwory pozostają jednym z nielicznych świadectw współczesności. I to nie tylko zagłady Żydów, ale również dramatycznej walki o ludzką szlachetność. I to szlachetność czystą i laicką. U nikogo z współczesnych nie ma tak ostro i tak przenikliwe zarysowanych problemów moralnych. Lata te wydały jeszcze drugie świadectwo, równie ostateczne i równie wstrząsające. Były to opowiadania oświęcimskie Tadeusza Borowskiego. Nie, naprawdę nie można powiedzieć, abym nie przeżywał współczesnej literatury.

A jednak stopniowo stawałem się coraz bardziej krytykiem na „nie”.

W 70-lecie urodzin Jerzego Szaniawskiego



1 marca br. odbyła się uroczystość jubileuszowa z okazji 70-lecia urodzin Jerzego Szaniawskiego, będąca zarazem jubileuszem 40-lecia Jego pracy twórczej. Uroczystość zagrał Leon Kruczkowski, następnie minister Kultury i Sztuki Włodzimierz Sokorski udekorował Jubilata Krzyżem Komandorskim Odrodzenia Polski. Referat poświęcony twórczości Jerzego Szaniawskiego, od lat związanego z teatrem, twórcy takich sztuk jak „Zeglarz”, „Most”, „Adwokat i róża”, „Kryśla” oraz szeroko znanych „Dwóch Teatrów” — wygłosił Wojciech Natanson.

Za ostro ocenilem na pewno w „Kuznicy”. Pociągł i diament. Z perspektywy dziesięciolecia jest to na pewno jedna z najlepszych książek. Nie ja jeden przemierzałem książki do wykonocypowanego wzorca. Jerzy Andrzejewski osadził swoją książkę jeszcze surowiej i wdrapał się na tak wysoki pomnik, że przez długie lata mógł pisać tylko cytatami. Bardzo surowo osadziłem książki pierwszego trzeciego w moim *D o i l u* drukowanym w „Odrodzeniu”. Poróżniłem mnie to nawet z częścią zespołu. Uważałem, że obrachunki inteligencje to o wiele za mało jak na literaturę dokonywającą się rewolucji. Wolałem o nowy temat i nowych ludzi. Wkrótce potem próbowałem wskazać nowe socjalistyczne konflikty. Była to krytyka postulująca. Coraz trudniej było mi jednak przejść od niej do uznania nowych książek.

Pisał niezbyt dawno Andrzej Braun w „Nowej Kulturze”, że tak długo wojałowałem o realizm, póki nie powstały pierwsze realistyczne książki, potem już tylko obryzdywaliśmy po drodze Conrada, miałem jedynie zachwalać *R o b i n s o n a i G u l l i v e r a* i śmiać się po cichu z produkcyjniaków. Jest w tym jakaś prawda. Zaczynało się właśnie moje rozminięcie z tzw. literaturą współczesną, a przynajmniej z jej ogromną częścią.

Na warszawskim zjeździe pisarzy w r. 1950 mówiłem o potrzebie szacunku dla Marii Dąbrowskiej; o tym, że przełomu nie stworzą trzy reportaże napisane przez studentów. Przełom został uchwalony i wszyscy mówcy odcięli się ode mnie. Wystąpienie moje zostało potępione. Tow. Sokorski nazwał mnie największą przeszkodą na drodze do realizmu socjalistycznego. Miły Boże! Jakżebyłem chciał, żeby tak było naprawdę. Niestety, nie ja byłem największą przeszkodą.

Nie chcę, aby z tych wspomnień wyglądało, że zostałem skrzywdzony. Wprost przeciwnie. Już w roku następnym dostałem nagrodę państwową za działalność naukową w Instytucie Badań Literackich. Pisma żądały ciągle ode mnie artykułów, należałem do prawie wszystkich chyba kolegów literackich i artystycznych przyznających, dyskutujących, orzekających. Byłem równie często chwalony jak miedszany z biotem. A jednak wyszedłem ze zjazdu potrząskany wewnętrznie i coraz trudniej przychodziło mi pisać.

Są różnego rodzaju zarzuty. Nie należy do pisarzy łagodnych, u mnie sam być złośliwy i dotknąć boleśnie. Cenię grę na ostro. Ale są zarzuty, które zamykają usta. Jest to zarzut antypartyjności. Ten zarzut wtedy padł. Po raz pierwszy w życiu, wtedy na zjeździe warszawskim, zobaczyłem, że moja opinia rozminęła się z opinią partijną, i to w sprawie, która mi najbardziej leżała na sercu, która była niejako moim zawodem; w ocenie drogi rozwoju literatury. Była to chwila bardzo ciężka.

Wiele razy sam siebie pytałem, czy naprawdę mam rację? Przecież byłem za przełomem, przecież sam się o niego biłem. Przywoływałem przykłady ideowego nowatorstwa tylokrrotnie w historii literatury okupowanego artystyczną lichotą. Choćby dramaty Diderota, tak nieudolne a przecież prowadzące do Lessinga i Schillera. Ale przecież nie szło mi o to, że nasze książki są niedobrze napisane; szło mi o to, że kłamią o życiu.

pałkę. Trudno jest nawoływać ludzi do gaszenia pożaru i tłumaczyć im jednocześnie, że ogień jest wielkim dobrodziejstwem. Nigdy tego nie umiałem i nie chciałem. A przecież paraliżuje pisarza, kiedy wiesz, że każde twoje słowo wezmą pod światło i zaczną patrzeć, czy się nie „wychylił”.

„Wychylił się” — to powiedzenie jest jedną z smutnych zdobyczy obrad sekcji twórczych w Związku Literatów. Atmosfera panowała tam zła i ciężka. Zbyt wiele tam było maleńkich Torquemadów z duszyszką Smerdiakowa. Leon Pasternak powiedział kiedyś słusznie, że *s z c z u j n o ś ć* zastąpiła tutaj *c z u j n o ś ć*. Nie były temu winni ani politycy, ani działacze. Odpowiadamy za to my sami. Pisarze i tylko pisarze.

Obiegło już parokrotnie prase powiedzenie Pawła Hertza na XI sesji Rady Kultury, że „jeżeli tow. Pu-trament każe mi skoczyć z okna i ja skoczę, to winny będzie nie tylko on, winni będziemy obaj”. Nie miałem ochoty skakać przez okno i bardzo rzadko przychodziłem do Związku. Dość jednak często, aby zbrzydzić sobie kapralskie metody wychowawcze i zgłaszanie każdej dyskusji krzykiem. Nie była to dobra atmosfera i musiała odbić się niszcząc na pracy kół młodych. Nie była to również dobra atmosfera dla samych pisarzy. Nie była też dobra dla krytyki.

Po warszawskim zjeździe przez trzy lata zbierałem uparcie i kolajcjonowałem cierpliwie wszystkie odmiany tekstów Trembeckiego. Nie miałem ani talentów filologa, ani filologicznego przygotowania. Przez wiele lat wszystkie teksty cytowałem z pamięci i gaffy moje obiegają całą prasę. Musiałem się wiele nauczyć i wiele nałamać, aby cztery tomy Trembeckiego doprowadzić do końca. Była w tym nie tylko rezygnacja. Kiedy czytałem nasze czasopisma literackie, praca moja wydawała mi się bardzo pożyteczna i bardzo słodka.

Jednomysłność intelektualna jest zawsze objawem niebezpiecznym, kiedy osiąga się ją za zbyt łatwą ceną. Nawet jednomysłność w krytyce rzeczy złych. Zmianę przekonań politycznych traktujemy poważnie i żądamy uzasadnień. Zmianę przekonań artystycznych przestaliśmy już zauważać. Przestała nas dziwić nawet wtedy, kiedy następuje z dnia na dzień, albo raczej z artykułu do artykułu. O sztampie, nudzie i schemacie napisano już tak wiele, że zenujące jest przyłączać się do chóru. Tak samo zenujące jest, kiedy minister musi zachęcać do odwagi i z prezydium padają do sali wołania o szczerść.

A przecież parę słów trzeba o schemacie powiedzieć. Myślę, że nie literatura jest tu najbardziej winna. Okazało się, że nawet słuszne formuły mogą wielu ludzi uwolnić od samodzielnego myślenia, jeśli tylko przyjmą, że zawarta jest w nich cała prawda o rzeczywistości. Trud polega wtedy tylko na tym, aby zbierać argumenty, aby ilustrować formułę. Niepostrzeżenie zaczyna się wtedy myśleć formułą i widzi wszystko przez formułę. Ona staje między człowiekiem i światem. Wielu z nas uważało, że wszelkie niepokój artystyczny i intelektualny ma już dawno za sobą, że sprawy osobistej odpowiedzialności moralnej są już raz na zawsze załatwione. Gdybym wielu z moich przyjaciół jeszcze niedawno zapytał, czy przechodzą jakieś konflikty moralne, popatrzyliby na mnie na pewno z takim samym zdumieniem, jakbym nagle zaczął ich niepokoić, czy wierzą w życie po śmierci? Jak swoisty Pangloss z wolterowskiego *Kandyda* uwazałbym, że „wszystko co jest, jest dobre”. Z marksistów wielu z nas stało się niepostrzeżenie pragmatystami.

Pisarzom nikt, przynajmniej teoretycznie, nie odmawiał prawa do własnego widzenia świata i człowieka, do własnego wyboru konfliktów moralnych. Tymczasem krytykę uważano za czystą ideologię, więcej nawet, bo za bezpośrednią propagandę. Pamiętam bardzo poważną naradę literacką, kiedy zupełnie serio dyskutowano, czy krytyk ma prawo do błędów? Nikomu wtedy nie wpadło nawet do głowy się zapytać, czy błąd ten można zawsze określić i jakim sposobem. Wielu prawdopodobnie uważało, do-brodusnie i naiwnie, że od oceny błędów jest po prostu wydział propagandy i agitacji.

Na tej samej naradzie również bardzo poważnie dyskutowano, jaka powinna być forma krytyki. Że ma pomagać i być wychowawczą, że ma być cierpliwa i oczywiście zawsze sprawiedliwa, i że czasem, ale to już w wyjątkowych wypadkach, może być jednostronna. Nikt nawet przez chwilę nie pomyślał, że krytyka albo jest twórczością, albo jej nie ma, że krytyka albo jest literaturą albo nie istnieje. Powtarzanie cudzych zdań rzadko kiedy bywa nazywane krytyką nawet wtedy, kiedy zadanie to staje się szczególnie trudne, kiedy nie można po prostu potwórzyć czyjegoś zdania, kiedy trzeba cudze zdanie pod-słuchać albo się go domyślić.

Nie, takim krytykiem nie chciałem i nie mogłem być. Wolałem być filologiem. Ale myślę, że przez następne trzy lata nie będą już zbierał i kolajcjonował tekstów nawet tak świętego poety jak Trembecki.

Jan Kott

(Dokończenie ze str. 1)

Uogólnienia i analogie bywają często lekkomyślne. Jeśli dotyczą Chin, bywają takie nieomal z reguły. Czuję nikłość prawdopodobieństwa, by moje pod tym względem mogły być szczęśliwym wyjątkiem. Ale jakże mam mówić o Chinach, pomijając kwestię tak uderzającą. Pomijając temat, który setki razy powracał nam na usta. Rozważaliśmy tę sprawę, posilując się naszym ograniczonym odczytaniem historycznym. Przysłuchiwalismy się pouczającym dyskusjom, jakie na te wszystkie zawile tematy prowadzili między sobą profesor Janusz Chmielewski, filar sinologii polskiej z naszym pekińskim sąsiadem hotelowym, profesorem Edwardem Erkessem, chlubą sinologii niemieckiej i w ogóle europejskiej. Z iluż powodów jaka niezwykła problematyka! Pisarsko biorąc ją fascynująca! O ileż bardziej fascynująca niż — nie bez pewnych z nią pokrewieństw — problematyka wielkości i upadku dawnego Rzymu. Tylko, że tutaj jest odcień i jakże zdumiewające wyzwygnięcie się z samego, zdawałoby się, beznadziejnego ona przepaści. I ileż odmian! Jak w najświetniejszym dramacie historycznym z mnóstwem zaskakujących odsłon.

Chiny wieku VI aż do V przed naszą erą to był kraj wspaniałej kultury. Albo Chiny wieku VIII i IX lub XIII czy XVI — znowu podstansowały świat. Podwaliny pod swoją cywilizację położyły całe tysiące lat temu. Klasyki ich literatury są mniej więcej równieśnikami klasyków greckich. A klasyki historii nieomal — rzymskich. Ich rzeźba, ich malarstwo, ich architektura już sięga artystycznych szczytów, gdy w dzisiejszych centrach cywilizacji wszystko jest jeszcze dzikie. A Chiny ośniewają wówczas przybyszów z Bizancjum, Azji Mniejszej czy Italii. Nie tylko myślą filozoficzną i artystyczną. Myślą techniczną również. Ośniewają i tych najdawniejszych i tych najpóźniejszych. Począwszy od Joannesa de Plano Carpini a kończąc na Ferdynandzie w. Richthofem, wszystkich bez wyjątku.

Z rozdziałów „Opisania Świata” Marco Pola, odnoszących się do Chin, wciąż bije zdziwienie. I nie tylko zdziwienie. Przemawia z nich zadrótko: „Trzeba wiedzieć — mówi on na przykład — że w całej krainie Kajuju znajduje się rodzaj czarnego kamienia, który kopią w górach, gdzie są jego żyły. Pali się on jak drzewo. Pospęca ogień nawet lepiej. Zapewniam was, że jeśli je zapalicie wieczór, całą noc ogień się utrzymuje, tak że rano go znajdziecie. Te czarne kamienie oszczędzają szczęśliwym mieszkańcom Kajuju pieniądze, drzewa i dają im ciepło jakiej tylko zechcesz gorącości”. Te zadziwiające kamienie, to oczywiście węgiel. Europa poznała się na jego wulwach o wiele później. Druk, pruch, papier, to wszystko Chiny też wymyśliły przed nami! A przecież to jeszcze nie wszystko. Ich myśl, by się tak wyrazić, administracyjna też dojrzała wcześniej. W Chinach zasada, że każdy urzędnik winien posiadać wystaltowanie, przyjęła się dwa tysiące lat temu. Organizacja biur czy władz naczelnych przez całe wieki ocale epoki wyprzedzała Europę w tym względzie. Więc co się takiego w końcu z zachwycającą krainą Kajuju stało?

Kiedy się rozważa tę kwestię, zapoznając się z niekończącymi się dziejami tego państwa, wyłania się problem inny. Problem równie pasjonujący. Do to przecież też zagadka, w jaki sposób to państwo przetrwało przez tyle tysiącleci. Zważmy bowiem, że Chiny na scenie historii zadebiutowały w czasie kiedy jeszcze istniał Babilon, Fenicja czy Assyria. To znaczy organizmy, które są dzisiaj pojęciem tylko archeologicznym. Pojęciem politycznym pozostają nadal państwa, które były później równieśnikami Chin: Grecja czy Egipt. Ale to już jest niejako kto inny. To już są wprost inne pojęcia. Natomiast Chiny dzisiejsze, to są te same Chiny co tysiąc, i dwa tysiące, i trzy tysiące lat temu. Wszystkich tych Kitanów, Hunów, Awarów, z którymi przez wieki zmagały się Chiny, czas w pył niezapamięci obrócił. A Chiny trwają. Przez tyle tysięcy lat są wciąż narodem żywym i pojęciem historycznie identycznym. Czy to nie jest zagadkowe? Bo to w historii wypadek niepowtarzalny. Jak to się dzieje? To jedno pytanie. A drugie pytanie, to to, które poprzednio próbowałem sformułować. Jak doszło do tego, że popadły w te straszne zapędy, która na jakiś czas uczyniła z nich, olbrzymia i przedownika, twór bezbrenny.

Chiny w historii są tak trwałe, jak gdyby odkryły eliksir nieśmiertelności. Zarazem w tej okrojonej, i to bynajmniej nie krótkiej, przeżytoj epoce, tak subie, jak gdyby — z nich żywotne soki. A tak nie jest. Starczym narodem nie są. Nikt sobie ową nieskończoność przeciagającą się historią Chin nie tłumaczył wspomnianą zapaści, mimo że najbardziej wymyślnych hipotez nie brakło. Że dzisiaj Chiny uderzają prężnością, to zrozumiałe. Zrzuciły obce jązmo i uwalniły się od rodzimych pijawek. Lecz w najbardziej pełnej epoce swej historii też zdumiewały siłą i ogniem. Zwalczały najpierw ułsk a potem jeszcze do tego i niewolę z niewyczerpaną energią. Z ofiarnością, bezkompromisowości, niecierpliwością, chciały się powiedzieć, młodzieńczą. Ten naród się nie szczędził. Chociaż tak rozmiłowany w pracy codziennej i w życiu rodzinnym, odrywał się od domu i zajął za łada pod

muchem budzących się wolnościami czy rewolucyjnymi nadziei. Jeśli więc przy pewnych uściśleniach i w pewnych szczególnych wypadkach termin starości może mieć zastosowanie do jakiegoś narodu, w wypadku Chin nie ma on sensu. A trzeba przyznać, że właśnie w wypadku Chin jest określeniem kuszącym. Gdyby się na ten termin zgodzić, ileż by się rozwiązywało zagadek. Zagadkę owej śpiączki, w którą Chiny zapadły nim się przebudziły. I setkę innych problemów z zakresów ich filozofii, malarstwa, architektury, obyczajów i zwyczajów oraz sztuki życia. Nie w tym jednak rzecz, że naturalnie ta filozofia czy te zwyczaje są od naszych inne. Uderzające i tajemnicze jest w nich zupełnie co innego. To mianowicie, że najczęściej bywają oparte na kanonach liczących sobie po kilka a niekiedy po kilkanaście wieków. Nieraz mówi się o konserwatywnym i formalistycznym tradycjonalizmie Anglików. Do pewnego stopnia w kulturze chińskiej tkwi to samo. Ale podczas gdy w Anglii od dłuższego już czasu ten tradycjonalizm jest grzesznościowym dygiem przed historią i faktem marginalnym egzystencji — w Chinach stanowił on, jak się zdaje, jeszcze do wczoraj o treści życia.

Życie zaś jest zmienne i płynne. Więc się przetwarza i doskonali. Jeśli tedy opisać je przy pomocy szczegółowych kanonów z tym zamiarem, by nie dać mu poza nie wykraczać, wynaturza się. Toż dzieje się ze sztuką, która jest odbiciem życia. Toż samo z filozofią, która przestaje je tłumaczyć, a zaczyna przytłaczać. A nawet ze zwyczajami i obyczajami, chociaż w tych dziedzinach bez wątpienia wypowiadają się pewne społeczne tendencje konserwatywne. Ale gdzie indziej jakoś one pomimo wszystko podążają za życiem, by nie ulec karykaturze i wynaturzeniu. W Chinach tak się nie stało. Życie chińskie przywalał kamień z tysiącem wyrytych na nim kiedyś przekonywających a nawet uderzających, ale już od dawien dawna przestarzałych mądrości. Przywalał i deformował.

Deformowały życie chińskie rygory bez takiej budzącej szacunek legitymacji. Rygory, które od razu były nonsensem. Jak na przykład to niepojęte krępowanie stóp kobiecych. Obaliły go już sunjatsenowskie Chiny. Już więc się nie widzi młodych Chinek na patologicznie karłych nóżkach. Ale kobiet starszych dużo jeszcze w ten sposób kuszylika. Bolesny widok. Widok żalony. Ale ponieważ wyczuwa się tu właśnie jakąś patologię, jałowa sprawa o tym myśleć. Natomiast nad dziejami niejednego z przepisów, które życie przegoniło, niejednokrotnie warto się zastanowić. Tak mi się przynajmniej wydaje. Lecz może dlatego, że tego rodzaju przepisy przemawiają silniej do mojej literackiej wyobraźni. A więc choćby ów przepis wymagający od kandydata na urzędnika egzaminów. Wspomniałem o nim. Był to w Chinach przepis prastary. W chwili kiedy po rewolucji z r. 1911 burzono namacalny wykładnik tego przepisu, słynne cele egzaminacyjne w Nankinie, liczył on sobie dwa tysiące lat. Kiedy się rozdził, był wyrazem postępu. Był wyrazem przodującego poglądu, że urząd to wiedza a nie fawor. Ale w tysiąc lat po swoich narodzinach już się stał tworem karykaturalnym. Już mobilizował przeciw sobie światlejsze umysły. Już w roku 1084 nawoływano, by: „Państwo i młodzież ratować z tej egzaminacyjnej matni”.

A matnia się zaciskała. Czasami przepis omijano, za sprawą pieniędzy czy pleców, i to wcale nie było najgorsze. Najgorsze było właśnie kiedy omszały ze starości przepis stosowano z całą ścisłością. Uczciwie i sprawiedliwie. Kiedy o patentach rzeczywiście decydowała wykazana na egzaminie wiedza. Bo jakże ona była, ta wiedza! Bo co też się z nią zrobiło przez owe parę lat, od kiedy jej treści dla celów egzaminacyjnych szczegółowo opisano? To była zmora! My z naszej europejskiej, polskiej i niepolskiej historii również znamy te najprzeróżniejsze średniowieczne i saskie trivium i quadrivium z podręcznikami szkolnymi nie rewidowanymi przez setki lat. Ale nie przez dwa tysiące! Ale nie na uniwersytetach! Ale nie aż po wiek XX!

Przerazający konserwatyzm! Monstrualny! Apokaliptyczny. Bo nie tylko nie dopuszczający świeżego powietrza, ale kondensujący zgniele i stare. Dziwaczna sprawa! Bo żebyż takiemu wystarczało trwać na swoich starych pozycjach. On są jeszcze cofs. Usłyszy głos ostrzegawczy i logiczny, jak choćby ów głos z r. 1084, czy zresztą tyle innych — ani drgnie. Ale widać jakichś głosów słucha i odmieniać się potrafi. Byłe głosy były tępe a odmiana na gorsze. Pogłębiające, zaostarzające nieżywciość i wsteczność.

W celach Nankinu, w przededniu zburzenia ich, rok w rok męczyli się kandydaci nad jakimś dziwnym rigorosum zwącym się próbą „ośmiu nóg”. A żeby jej sprostać, należało podany temat z ksiąg Konfucjusza czy jednego z pięciu klasyków porozbijanych na dwie części, z których każda musiała się składać z identycznej ilości zdań i wyrazów! Od setek lat kanon wzbraniał lokatorom celek wypowiedzenia opinii własnych. Od setek lat mogli tylko cytować. Natomiast pod żadnym pozorem nie wolno im było niczego powiadać, wprost jak pod kwiatkiem, na temat rzeczywistości współczesnej czy praktycznej. Bo takie rzeczy nie licowały ani z godnością do której aspirowali, ani z czystą abstrakcją wiedzy, którą

się mieli ci przyszli urzędnicy wykącać! I jeszcze tej potwornej machine było mało! Jeszcze jej się na koniec, w samobójczym niejakim odruchu, zachciało „identycznej ilości wyrazów i zdań”. Na to była tylko jedna rada! Kilof i łom! I zburzono cele. Rozbito w puch i proch ten bądź co bądź przybytek nauki! Ale cóż to musiał być dla Chin za symbol dławiącego, trującego wstępnictwa, jeśli potraktowano jego mury — mury które przed dwoma tysiącami lat mogły być wyrazem postępu — tak jak lud francuski potraktował inne mury, z założenia wrogie człowiekowi i wolności, mury Bastylii.

Ala nie upajamy się tą analogią. Bo zburzenie Bastylii to sprawa prosta. Nie to co zburzenie cel egzaminacyjnych. Bo już wyłania się komplikacja i nowe zagadnienie: co począć dalej z tym Konfucjuszem i tą piątką klasyków przeżywaną tak beznadziejnie przez kandydatów od „ośmiu nóg”. I c h problemu, klasyków, załatwić się nie da kilofem i łomem. Jak Krasziński o Mickiewiczu powiedział: „My wszyscy z niego”, podobnie o klasykach każdy Chińczyk powie, że cała chińska kultura jest z nich. Filozoficzna, literacka, obyczajowa. Niech to także nikogo nie myli, że Konfucjusz jest obecnie odsunięty. Tak samo byłby u nas Słowacki, gdyby przez setki lat wkuwano z całego jego dorobku jedynie... „Króla Ducha”. Jako pisarz i myśliciel kiedyś powróci, wtedy, kiedy konfucjanizm do reszty wywietrzeje z mentalności chińskiej. Inni klasycy nie potrzebują takiej kwarantanny. Ale wszyscy oni wymagają nowego odczytania. Gruntownej nowej interpretacji. Odmładzającej naukowej kuracji.

Profesor Edward Erkes cytował mi z nich całe strony zaskakująco realistyczne. Lapidarne, cierpkie, sceptyczne. Tęcy oni w większości są naprawdę, jeśli odbić z nich zniekształcającą skorupę takiego samego historycznego pochodzenia co pokraczny konwencjonalizm od siedmiu boleści i „ośmiu nóg”. Lom jej nie odbije. Sama krytyka gabinetowa też nie wiele sprawi. W stosunku Chińczyków do klasyków jest coś z wiary. Są oni w stosunku do nich pełni ślepego zaufania. A przecież ci klasycy nie w sobie nie mieli z patriarchów i proroków. Nie wysłpewali w imieniu żadnych istot wyższych czy metafizyk. Mielili całkiem inną specjalność: chcieli uczyć jak żyć. „W jaki sposób osiągnąć szczęśliwość, bogactwo i długowieczność?” Oto nad czym przez całe życie i poprzez wszystkie swoje karty głowi się wielki — choć może legendarny w tym samym stopniu co Homer — Lao Tse. Praktyczne cele, konkretność, trzeźwość, ludzkie podejście do spraw — bije z tych prastarych tekstów. Zarazem jednak niektóre z nich — jak właśnie księgi Lao Tse — to przysięgłe źródła taoistów, jednej z najznaczniejszych religii chińskich, mistycznej, wynaturzającej życie, wstecznej!

Ala nawet klasycy wolni od tego rodzaju kłopotliwych wyznawców też w ujęciu wielowiekowych komentatorów ulegli deformacji. Co z takimi począć? Są cementem wiążącym w całość kulturę chińską. A jednocześnie jej ciążą. O odrzuceniu ich nie może być mowy. Są chluba Chińczyków, którzy koło nich chodzą od tysiąca lat, jak żaden naród dotąd nie chodził koło swoich starożytnych autorów. Muszą więc być tylko od deski do deski przeczytani na nowo. Kiedy ich się w atmosferze gorącej przestudiuje, opadnie z

K O N T R A S T Y



Z TEKI CHINSKIEJ ANDRZEJA STRUMILLY

niech naniesiony przez wielki mól. Taka rewizja to oczywiście zadanie olbrzymie. Nie do wykonania bez tej szczególnej temperatury, upartej, odważnej i namiętnej, którą przynosi r e w o l u c j a .

Dziesiątki podobnych zadań stanęły obecnie przed chińską rewolucją. Architektura, muzyka, teatr, plastyka, każda z tych dziedzin nosi w sobie z różnych przyczyn podobną dwoistość co ci klasycy. Wszystko jest zarazem cenne i w jakiś sposób ciężące. Wszystko nosi na sobie cechy fenomenalnej odporności na czas, a jednocześnie pewne cechy deformacji. Wszystko w tym samym stopniu przez wieki utrzymuje się w świeżości, ale także w jakiś sposób tym dorem ulega. Jest nie naruszalnym dorobkiem Chin, a zarazem aktualnym, palącym zagadnieniem.

Dotychczas ilekroć chciałem dać przykład najsuśniejszej linii w architekturze, nieodmiennie cytowałem arkadę kościoła San Spirito we Florencji. Ale dzisiaj ten cudowny twór Brunelleschiego ma towarzysza. Kiedy na przywiezionym z Chin

zdjęciu przyglądam się linii dachu środkowej rotundy pekińskiej „Świątyni Nieba”, tak samo nie mogę oderwać oczu. Jest samym pięknem. Uosobieniem architektonicznej finezji. Jest też ukoronowaniem wysiłków tych dziesiątków tysięcy budowniczych chińskich, którzy czełkowali linię swoich dachów od tysiąca lat. Natrafia się nieraz w literaturze chińskiej na scenę opisującą, jak się Chińczycy właśnie taką linią delectują. Jak potrafią się nią w nieskończoność napawać i napawać. Tym jednym wyabstrahowanym elementem.

Ala bo też jakim jeszcze innym elementem swojej architektury mogłoby się napawać w tym samym stopniu? Wszystko pozostałe jest od tej linii wyraźnie słabsze. Od tego poniekąd sztucznie wyodrębnionego i tak miłośnie wypieszczanego elementu. Ani fasadą najświetniejszych nawet budynków, ani proporcją całości, ani „skwadratowaniem” (jak to nazywał Słowacki) jego poszczególne części. Co zrobić z tym chińskim umiłowaniem w nowej architekturze, która dachu prawie nie

eksponuje? Co począć z innym kłopotem? Z odwiecznym chińskim nawykiem wypowiadania swojej myśli architektonicznej nie przy pomocy jednej, wielkiej bryły, lecz dziesiątki pomniejszych. Przestrzeń pomiędzy nimi to w istocie pole popisu dawnego chińskiego architekta. I znowu powstaje pytanie: co z tym jednostronnie rozwijanym mistrzostwem zrobić? Na jakimś etapie budownictwo chińskie zatrzymało się w rozwoju. Nie spiętrzyło się. Nie scalało bryłek w bryłę. Umie wyrażać się pawilonami lub też oderwanymi wysokościami, częstokroć prześlicznymi akcentami, mówię o bramach czy o pagodach. Nie jest to wystarczający na dzisiejsze potrzeby alfabet. Ale jak go rozszerzyć, nie gubiąc i nie tłumiąc tych kilku własnych głosek, z których Chiny są z taką słusnością dumne. To także problem dający się rozwiązać tylko w namiętnej i nigdy nie tracącej nadziei rewolucyjnych warunkach.

Nie inaczej przedstawia się sprawa z chińskim klasycznym teatrem czy muzyką. Mamy tu ponownie do

JAN BOLESŁAW

N O W E

Z CZTERECH STRON ŚWIATA

Wiaduktem w Radomiu, opatowską bramą, rynkiem sandemińskim: pod okienko to samo.

Pustelnią dukielską przez jasielskie drogę Gwoźnicą, Stobierną popod te same nogi.

Portami Szczecina Walem Kołobrzegu i puszcza jodłowa, do stóp serca dobrego.

Śniegami Karkonosz przez odrzańską wodę i Wisłę i Rabę do niej po szczęście młode.

TYM, KTÓRZY KARKU JUŻ NIE UGNA

Zbyt długoście nosili głowy w świątek i piątek na poziomie mrówek. Doił was ksiądz jak dojne krowy i drwił z was zupak i półgłówek.

Organy też z ołowiu dziś wołają i księża w albach niby w białej mące z gwinłową jednak chodzą starsi na zajęciach a młodzi na boisku w piłkę grają.

Tam gdzie wiatraki meły głodną zorzę, dziś chroszczą wieczorami kaszę z prosa, a młyny miały mękę pod niebiosami, bo powiat już odstawił zboże.

To czas, co biedzie do was szlak zagroził Synowie wasi na traktory siądą i pieśni ich nie będą już kółdą dla Tego, który się na sianie rozdził.

ZAWSZE KAMIEŃ

Prof. Dr Fr. Groerowi

Zawsze kamienie o pola były i w ziemię prały deszcz, i krew chmury rybami gradu dzwoniły i zawsze płakał ludowy śpiew.

Zawsze przez ziemię powietrze gnało i gnała wojna, ogień i śmierć. W pokos się kładło robocze ciało, czarny mu sztandar dźwigała żerdź.

Ludzi siekl tędy zimą i wiosną dyftery, ospa, nędra i głód. Z kółsek śmierci topole rosły, milionów trumien nie wskrzesi cud.

Ksiądz co dzień dzieci w kościele chrzcil, lecz odchodziły daleko gdzieś. Tylko za dziećmi wiatr gnał i bił, w białe trumienki śniegiem przez wieś.

Biedaku czuły, ciągle narzekasz, jak narzekali chłopci sprzed lat

CHINKI

czynienia z czełacją jednego elementu na niekorzyść drugich. Z wyraźnym zatrzymaniem się rozwojowym, na skutek którego ten teatr, już nie mówiąc o muzyce zbudowanej na gamie mającej tylko pięć tonów, może wyrażać jeno ograniczone treści. Zarazem z czymś co jest umiłowaniem i dumą narodu. Trwa taki, jaki jest — skonwencjonalizowany po granice hermetyczności od setek, setek lat. Siegnął w XIX w. po ludowe motywy muzyczne, ale również je spetryfikował tak co do rysunku jak co do liczby. Co wieczór trudnymi swoimi środkami klasyczna opera wzrusza i raduje dziesiątki tysięcy ludzi w całych Chinach. Nie jest więc martwa. Ale jakie znaleźć dla niej wyjście, żeby nie była artystycznym marginesem. Żeby zarazem była chińska i nowa. Żeby dołączyła do nowego życia nie tylko na zasadzie pamiątki.

A malarstwo? A rzeźba? To malarstwo i ta rzeźba, oglądane po muzeach, od których się nie można oderwać. A od których dzisiejszy twórca chiński (jak nieraz mówiliśmy między sobą) „musi się oderwać, nie zrywając z nimi”. Bo one także, jak cała tutejsza twórczość, kładły nacisk jedynie na pewne elementy wyrazu, i to przez całe wieki wciąż na te same. Stąd ich porwijące wyczelowanie, ale i — umowność. W jaki sposób ich słowa przetłumaczyć na mowy język? Nie zniszczyć więzi między żywymi a umarłymi. Dopieścić to co w tej sztuce brakujące. Dokonać się to może tylko w rewolucyjnych Chinach.

W „Świątyni Nieba” jest teraz muzeum. Jest we wszystkich pawilonach. A więc i w tej rotundzie, której fiolkowy, glazurowany, mistrzowski pozbokowany dach obudził we mnie najwyższy podziw. Dawniej w tej „Świątyni” cesarz celebrował swoje nabożeństwa. Jako syn nieba — z tego miejsca interweniował u wyższych czynników. U samego władcy niebieskich przestworzy, jak również u podległych mu potęg na niższych szczeblach, ale które domagały się od cesarza medlitw i ofiar skierowanych specjalnie pod swoim adresem. Były to różne niezmiernie wpływy i zarazem drażliwe bóstwa, w których kompetencji pozostawały już to wiatr, już to burza, już to deszcze czy posuchy. Przez całe wieki straszne było ludowi chińskiemu pomyśleć, że mógłby się obywać bez takiego interwenta i jego przejmujących cały naród grozą i szacunkiem słynnych corocznych magicznych zaklęć „o dobry urodzaj”. Ta magia dawno już przysła.

W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat w świątyniach konfucjańskich, taoistycznych, buddystycznych też się niezmiernie dużo zmieniło. Los tych pierwszych przesadzony został na Sun Jat-sena. Nieomal wszystkie przybłki poświęcone kultowi tego pradawnego mędrca zamieniono w zwykłe szkoły. Poszło to tym łatwiej,

że konfucjanizm nie był religią. Był tylko filozofią, którą interpretowano coraz jednostronnie i do której się odnoszono z coraz bezkrytyczniejszym nabożeństwem. Aż przyszedł kryzys.

Taoizm to też przed wiekami raczej była szkoła życia niż wyznanie. Ale po kilkunastu stuleciach z tego początkowego, w najlepszym tego słowa znaczeniu *savoir vivre'u* niewiele pozostało z pierwotnego ujęcia. Pod nawarstwieniami obyczajów, magii i mistyki niewiele można odczytać z jego dawnych myślowych i życiowych treści. W jego przybytkach jest dzisiaj pustawo. Czasami się jakiś mnich pokaze biały i w dziwnym czarnym bircie. W buddyjskich klasztorach też ludno nie jest. Niektóre są wręcz opuszczone. Dopływ powołań jest minimalny. Ilość wiernych maleje. Jest to wynik procesów wcześniejszych nawet niż upadek cesarstwa. Chińczycy mieli zresztą do swoich religii, nawet do metafizycznego buddyzmu, zawsze swoiste, trzeźwe, ziemskie podejście. Ich religie też, jeśli dalej ryzykować uogólnienie, były swoiste. Były raczej propozycją czynioną ludziom niż administracją społeczeństwa. Wyżywały się też głównie w klasztorach. Raczej opierając się na zawodowcach i wybranych kibicach niż na całej ludności.

Oglądaliśmy wiele klasztorów jako dzieła sztuki. Nieraz też, wędrując sobie po mieście czy przedmieściach to ten, to ów z nas odwiedzał podobny przybytek. W wielkich miastach czy mniejszych, na wsi czy na prowincji, natykał się na powtarzający się widok. W stare formy wszędzie uściłowano się wlać nowa treść. Czasami po prostu klasztor przestawał się z torów nadprzyrodzonych na tory turystyczne. Z przemysłu zaziemskiego na przemysł gospodni. Ale kiedy zawodziła starożytność, zabytkowość czy położenie, ta nowa treść wyrażała się jeszcze zwyczajnie.

Oto w głównym, ostatnim z pawilonów tliła się jeszcze przed którymś z wcielen Buddy czy którymś z proroków Tao wysmukła paleczka kadziła, gdy w innych — na mocy najróżniejszych układów z klasztorem — już się gnieździł ludźle. W przestrzeni pomiędzy pawilonami, zawsze tak perspektywnie wypieszczoną, też wlewało się życie, zajmując również paradną dawniej drogę do tego zamierającego przybytku, z reguły harmonijnie wypunktowaną mnóstwem bram, mostków, pomników. Te tysiączne sklepiki, warsztaczki, piecyki, sznury z suszącą się białą, doniczki i skrzynki z roślinkami, płachty i maty z towarami albo wyniesioną z piwnic na przewiew czy słońce kurzydzą, prosem lub ryżem, to jeszcze nie wyraz ostatecznego przeznaczenia tych gmachów i tych miejsc. Nie! Z całą pewnością wszystko to co się w podobnych zakątkach tak żywotowo pełni — obo-

jętne czy po miastach czy po wsiach, równie zlaknionych każdego wolnego metra przestrzeni mieszkalnej lub życiowej — to jeszcze nie życie nowe w pełnym znaczeniu tego słowa. Ale to jest już chyba ostateczne wygasanie tych kadzidel.

Toteż nie one są problemem. Chiny problemów wyznaniowych nie mają. Lecz jest coś co je kłopotuje niejako w zastępstwie tej problematyki. Są to odpadki różnych starych wierzeń, szczerbki przepisów, pozostałości zabiegów tak odwiecznych, że zdają się samą treścią umysłowości czy narodowej formy bytowania Chińczyków. Taoizmowi dzisiejszy światły Chińczyk zarzuca między innymi i to, że chciał być szkołą życia, a stał się szkołą magiczną. Ale czy o konfucjanizmie nie można powiedzieć tego samego? A o obu tych szkołach nie można powiedzieć znów tego co się powiedziało wyżej o chińskiej architekturze czy plastyce? Że pilowały jeden tylko czynnik z całego mnóstwa powiązanych z sobą elementów. Wynaturzając go i doprowadzając do absurdów. Patrząc na liliową i kryształniczną czystą linię dachu środków rotundy „Świątyni Nieba” zachwycał się nią. Czyż z tym konfucjańskim kultem przodków i z oparciem całego życia na kółku rodzinnym nie jest po trosze jak z tą linią? Wyabstrahowano go, wyczelowano aż po granice nonsensu. Jakiż on sam w sobie pociągający, ale zarazem jakież monstrualne jest podporządkowanie wszystkiego w świecie, w narodzie, w państwie wyłącznie jemul! Jakież całkowicie ludzkie jest taoistyczne zyczenie, by życie człowiecze na ziemi trwało jak najdłużej, ale zarazem jakież pokraczne, kiedy to się staje celem wyznaniowym, ku któremu dąży się wszystkimi środkami magii, geomancji, mistyki, kontemplacji i erotyki! Jakież niewinne jest samo w sobie pragnienie, by po śmierci spocząć koło grobu rodziców. Dopiero nałamywanie całej egzystencji do tego jednego impulsu czyni rzecz żalną. W szacunku dla ich prochów, i w ogóle wszystkich miejsc gdzie leżą stare kości, ileż kultury! Ale przy przeroście tego poszanowania w jedyną świętość na ziemi — ileż powikłań i kłopotów.

Co się z nimi dzisiaj dzieje? Krąży najpewniej podskórnie zarówno same kulty jak ich przestroje! Przecież jeszcze do niedawna żałoba po rodzicach trwała tu trzy lata, podczas których „niewłaściwą” rzeczą było podejmowanie się jakichkolwiek funkcji”. Przecież jeszcze do wczoraj najbiedniejszy, oszczędzający na wszystkim chiński majtek na obcych statkach warował sobie w kontraktach odtransportowanie ciała do kraju w razie śmierci i w tym celu woził z sobą metalową trumnę. Przecież jeszcze do wojny z czasów japońskich odpływ rąk robotnych z Mandżurii, rak stosunkowo niedawno zwerbowanych, był poważnym problemem. Bo uciekali

stąd na swoje stare śmieci, i to tam, gdzie nieraz szalało bezrobocie, ludzie po przeprowadzeniu niewiele lat i po zaoszczędzeniu paru groszy. I w tym wypadku również działał, jak się zdaje, jeden i ten sam magnetyzm.

Kiedy wędrując przez Chiny spogląda się z okien pociągu na ich półka usiane grobkami i myśli się o tym, że po tych półkach zamienionych w wielkie pola powinny i musza w niedalekiej przyszłości przejść traktory, przypomina się ta problematyka. Wystarczy na to również pochylić się nad mapą ukazującą, jak bardzo różne jest zagęszczenie Chin. Rezerwy ziemi w tym kraju są nieprzebrane. Uprawić je to nie tylko zagadnienie nowych technik irygacyjnych, to także problem, o którym była mowa wyżej: problem osiedlenia wielkich mas ludzkich na obcych im terenach a więc tutaj problem kulturowo-psychiczny. Gdzie się ruszy, jakieś podstawowe i niełatwe zagadnienia kulturowe atakują umysł podróżnego, umysł i wyobraźnię.

Czyż takim zagadnieniem nie jest inna chińska osobliwość: pismo? Dzięki jego charakterowi dzisiejszy Chińczyk czyta z dużą łatwością swoich odwiecznych klasyków, kiedy już Montaigne, który jest od nich pięt razy młodszy, bywa przez Francuzów niekiedy tłumaczony — dla lepszego zrozumienia — na język współczesny. Dzięki swoim hieroglifom również Chińczyk z Południa może się porozumieć z Chińczykiem z Północy, chociaż każdy z nich mówi, fonetycznie biorąc, językiem całkowicie innym. Ale w ten sposób przecież mogą się dogadać jeno ludzie piśmienni. To znaczy jedynie tacy, którzy opanowali od czterech do czterdziestu tysięcy znaków. Jakże iść z podobnym balastem na wieś, by walczyć z masowym w Chinach analfabetyzmem. Albo jakże po biurach czy urzędach pracować szybko i nowocześnie, kiedy byle depesze koncyptować trzeba przekładając ją na język wielociekowych liczb, przy pomocy słownika rozmiarów wielkiej encyklopedii. Lub też kiedy byle pismo wystukiwać trzeba czy papierek wymęczać na chińskiej przeogromnej maszynie do pisania, która wydaje się tworem powstałym ze skrzyżowania Underwooda i ichtiosaury.

W mieście Anszan podziwialiśmy przemysłowe kolosy. Nad rzeką Jung-tingho, dopływem rzeki Żółtej — mocarną, kolosalną tamę. W pobliżu Pekinu — zręby półmilionowego uniwersyteckiego miasteczka z dziesiątkiem już gotowych imponujących instytucji. W Szanghaju oiodal jednej z najbardziej zwinnych dzielnic wprowadziła nas w zdumienie rozległość świeżo wykończonego osiedla robotniczego. Chińska Republika Ludowa powstała pięć lat temu. Przeziła spaadek po ustrojach, z których jeden sprawił, że Chiny przed paroma wiekami zatrzymały się w rozwoju, a drugi że emal nie podzieliły losu ludów kolonialnych. Gospodaruje na terenie, który jest trzdzieści razy większy od Polski, jak to wyliczył Putnam. Oto matematyczna skala. Olbrzymie zadania stoją więc przed narodem chińskim. Oblicza się je w dziesiątkach takich przemysłowych kombinatów, uniwersyteckich miasteczek, wodnych rezerwarów, tam, instytucji i osiedli.

To jedna lista. A na drugiej wpisują się te różne kwestie i zadania z zakresu sztuki i obyczajów, kultury i poglądów, narzędzi wyrazu i porozumiewania się. Pozyce z jednej listy przenikają na drugą. Rozwiązanie problemów z jednej rozwiązuje problem z drugiej. I — na odwrót. Ale ta druga lista, mimo wszystko, wzdziela mi się w listę specjalną. Składa się z pozycji posiadających w Chinach walor specyficzny. Narod chiński jest narodem wielkiej energii. Dał dowody żywotności bezprzekładnej. Jest narodem o nieprzeciętnej dynamice kulturowej. A pomimo tych swoich możliwości i mocy — za dawnych ustrojów żadnego z tych problemów nie ruszył. I nie ruszył by ich z miejsca bez rewolucji. To znaczy — bez Komunistycznej Partii Chin. To znaczy — bez chińskich komunistów. Bez ideologii, bez dyscypliny, bez jednolitego kierownictwa, bez masowej, tłumaczącej wszystko po sto razy, cierpliwej, stałej pracy propagandowej. Jak również bez stawiania pewnych zadań, na które przyszedł czas ze szczególną, czasami wręcz separującą je od innych, siłą.

A także bez przejęcia się tą zasadą, że naród każdy musi swoje życie duchowe bazować na własnej kulturze, zawsze i niezmiennie, pomimo wszystkich trudności i występujących komplikacji, odwołując się z niej tylko to co jest przestarzałe i mętne. A na koniec bez tej wielkiej fali nadziei, pewności i optymizmu, rodzącej się z rewolucji, w której są zainteresowane masy. W takim tyglu te wszystkie skamieniałości chińskie, o jakich mówiliśmy, też stopnieją. Jednostronności się wyrównują. Zawilości się uproszczają. W takim tyglu, który przed pięć laty rozwiązał już zadanie niemele: wyzwolenia Chin. W takich warunkach, w których dokonany został przez Chiny siedmiomilowy krok na drodze ich opanięcia. A więc w takim tyglu, w takich warunkach, w taki j atmosferze. I jedynie w takiej.

Tadeusz Breza

Nowe książki

Piękne, barwne książki dla najmłodszych i młodzieży przyciągają oczy nie tylko swoich właściwych odbiorców. Estetyczne, niekiedy o dużej wartości artystycznej okładki i obwołują cięszą i wzruszają również dorosłych. Zwłaszcza pozycje tzw. klasyczne, wielokrotnie wydawane, na których wychowało się już kilka pokoleń czytelników. Przede wszystkim — Konopnicka. W ubiegłym roku ukazało się nakładem „Naszej Księgarni”: „O Janku wędrowniczku”, „Na jagody”, „Szkolne przygody Pimpusia Sadelko” i „O krasnoludkach i sierotce Marysi” z pięknymi nawiązującymi do naszej ludowej sztuki ilustracjami Szancera.

Najmłodszy odbiorcy literatury przyjmą także — z wdzięcznym zainteresowaniem „Przygody Misia” Ewy Szelburg-Zarembiny — historyjkę o zbuntowanym pluszowym niedźwiadku, który z półki w przedszkolu wybrał się w daleką wędrowkę do lasu. Ilustracje Janusza Jurjewicza podnoszą urok tej książeczki.

Równie atrakcyjny pod względem treści i formy graficznej jest „Kacperek” Janiny Porazińskiej (N. K. 54). Jest to historia ualentowanego chłopca wiejskiego, jak gdyby baśń o Janku Muzykancie, zamknięta przez autorkę dobitną, światopoglądową pointą, „Kacperek” wydany został na pięknym papierze, z bardzo pomysłowymi i ciekawymi ilustracjami Zofii Fijałkowskiej.

Irena Jurgielwiczowa w swojej książce o „Czterech warszawskich pstróczkach” (N. K. 54) mówi o losach młodych warszawskich wróbelków. Ich przygody są raczej pretekstem do tego, by opowiedzieć o mieście i jego mieszkańcach. Jest to książka o dużych walorach wychowawczych. Lekko i jakby mimochodem porusza wiele istotnych, uczących wiedzy o życiu, spraw.

Ostatnia edycja bajki Kraszewskiego „Dziad i baba” (N. K. 1954) to jedno z wielu naprawdę cennych wydań „Naszej Księgarni”. Ilustracje Olgi Stemaszkowej barwne, dowcipne, doskonałe w wyrazie, pełne ludowego humoru i werwy są jednym z uroków tej książki, która przeznaczona jest zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych.

Gianni Rodari — współczesny pisarz włoski jest autorem „Opowieści o Cebullu” (N. K. 1954) przekład Zofii Ernst) — książki zadeptywanej dzieciom polskim. Pisarz posłużył się personifikacją, baśnią-wosścią. aby opowiedzieć o współczesnych Włoszech, o krzywdzie włoskich dzieci. Walory ideologiczne, żywy humor i wysoki poziom artystyczny decydują o tym, że książka ta uczy i bawi.

Dla dzieci w wieku szkolnym przeznaczone są opowiadania Iwana Wasilenko (N. K. 1955) przekład Janiny Lewandowskiej) — kilka bliskich młodzieży obrazków z życia rodziny, kłopotów szkolnych zakończonych szczęśliwie dziełmi solidarności, uczciwości i ofiarnej postawy bohaterów.

Oddzielną grupę książek stanowi tzw. literatura przygodowa. Głód książki przygodowej od dawna dawał się nam we znaki. Alarmowały wydawnictwa no i autorów. Okazuje się — skutecznie.

Przed wszystkim więc wznowiono ostatnio dwie powieści naszego świetnego, zmarłego niedawno autora powieści podróżniczych i fantastycznych Władysława Umińskiego.

Jego „Złoty chleb” (N. K. 1954) jest opowieścią o tragicznych dziełach Sobiesława Mrokiego, który wraz z innymi polskimi emigrantami wyjeżdża za Ocean w poszukiwaniu pracy i chleba. J. Wetykanowicz, autor postawia tej książki, nazwał zakończenie powieści „Smutnym happy-endem pokonanego bohatera”. Mroki zapewnia sobie spokojny byt, ale za cenę wyzreczenia się swoich ideałów, za cenę rezygnacji z powrotu do Polski. Wartość powieści Umińskiego polega na tym, że w przeciwieństwie do innych powieści tego typu widać w niej akcenty ostrej krytyki badającej oskarżeniem systemu kapitalistycznego, który łamie i niszczy człowieka.

W „Podróży bez pieniędzy” (N. K. 1955) Umińskiego zawierającej opis wyprawy przez kraje Wschodu: Indonezję, Chiny i Japonię, Pacyfikiem do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej — oprócz obrazów egzotycznej przyrody znajduje młody czytelnik zgodne z prawdą historyczną wiadomości o życiu ludu w tych krajach, o nędzy i ubóstwie, oraz ekonomicznej polityce europejskich kupców. W czę-

ści dotyczącej stosunków w Stanach Zjednoczonych daje autor satyryczny, ostry obraz amerykańskiej cywilizacji.

Powieść radzieckiego pisarza Dubowa „Na krańcach ziemi” (N. K. 1955) przekład Wacławy Komarnickiej) to także powieść przygodowa, ale innego już typu. Gromadka pionierów, która wraz z Michłem Aleksandrowiczem Ruzowem, kandydatem nauk geologicznych udaje się na wędrowkę — przeżywa przygodę naukową, poznaje kraj, pomaga rozwinać się zainteresowaniom młodzieży i zdecydować się na wybór zawodu.

Podobny typ literatury młodzieżowej reprezentuje znana już wielkością czytelników książka Zukrowskiego „Poszukiwacz skarbów”. Obecne wydanie jest już drugim z kolei wydaniem tej interesującej książki, łączącej szczęśliwie elementy literatury podróżniczej i popularno-naukowej.

„Szlakiem orlich gniazd” (N. K. 1955) Danuty Biełkowskiej to opowieść o pieszej włóczędze młodej gromadki pod przewodnictwem nauczyciela. Młodzi turyści wędrują od Krakowa do Częstochowy, przez Gebułów, Ojców, Olkusz, Ogrodzieniec, Złoty Potok i Olstym. Podane w przystępnej zaleźniowej formie wiadomości krajoznawcze to jedna z wielu wartości tej książki. Autorka pokazuje tu momenty wychowawcze takiej wyprawki. Dorastanie, dojrzewanie chłopców, kształtowanie się charakterów, budzenie zainteresowań. Pokazuje jak tzw. „trudne” dzieci pozbawiają się kompleksów i zahamowań, zrywają się z gromadą.

Wśród naszych wydawnictw młodzieżowych na szczególną uwagę zasługują chętnie czytana, odgrywnąją poważną rolę w kształtowaniu się światopoglądu młodzieży powieści historyczne. Wymienimy tu powieść Zbigniewa Przywskiego „Światło z ziemi” (N. K. 1954), którego bohaterem jest Ignacy Łukasiewicz. Książka oparta na skrupulatnie zebranych, trudno dostępnych materiale historycznym przedstawia Łukasiewicza nie tylko jako wybitnego wynalazcę ale także jako patriotę, działacza o postawach, demokratycznych poglądach.

„Miasto na złotym szlaku” Lucyjny Sieciechowicz (N. K. 1954) jest powieścią historyczną z XVI wieku, powieścią o Poznaniu czasów Odwiedzenia. Poprzez karty tej książki przesuwają się postacie bonnych mieszczan, raićów, rzemieślników, żaków. Ta niezwykle barwna, bogata w szczegóły opisywawca książka pozwala czytelnikom wniknąć w życie, odpowiadając prawdziwie historycznej wnioskowi na temat stosunków społecznych w tym okresie.

Szczególnie cenna pozycja powieściowa stanowią „Leśne doby” W. Tropaczewskiego-Ogarkowej. Autorka wprowadza w zagadnienia poruszane po raz pierwszy po wojnie w naszej literaturze młodzieżowej. Pokazuje politykę sanacyjną prowadzoną na Białorusi w latach po 1920 roku. Znajdujemy tu ponury obraz życia 8 miln. Ukraińców i Białorusinów pod panowaniem burżuazji i obszarników polskich oraz walkę rewolucyjnej organizacji białoruskiej „Hramadzi” o społeczne i narodowe wyzwolenie.

Wreszcie powieść o tematyce współczesnej „Początek drogi” Hannu Mortkowicz-Olczakowej (W. L. 1954). Bohaterką jej jest dwunastoletnia dziewczynka, która po klęsce powstania warszawskiego przeżywa wraz z matką w nowym dla siebie środowisku — na wsi. Dziewczynka wraz z grupą wiejskich kolegów przeżywa te same problemy i zagadnienia, co dorośli. Rozwija się, dojrzewa, uczy się odróżniać złe od dobrego. W tej okrutnej szkole życia i nad miarę ciężkich doświadczeń kształtują się mocne, prawe charaktery przyszłych obywateli.

Ocena krytyczno-literacka wydawnictw młodzieżowych nie jest celem i zadaniem naszego felietonu. Kwestia ta pozostaje otwartą. Chcielibyśmy natomiast podkreślić walory edytorskie omawianych książek: staranne opracowanie, przypisy w książkach wymagających komentarzy rzeczowych, piękna szata graficzna i trwałość książek ukazujących się prawie wyłącznie w sztywnej oprawie. Bardzo poważna kwestia wymagająca chwili uregulowania jest sprawa nakładów, które nie zadowalają potrzeb naszego rynku wydawniczego. Wiele omówionych przez nas pozycji zniknęło już z półek księgarskich.

K. Nast.

OZÓG

WIEKSZE

Gdyby tak kiedyś był na wsi lekarz,
nie byłby umarł jeszcze mój brat...

Tak dziś bogowie chłopom łaskawsi.
Stoi dziś we wsi szpital i młyn
Gdyby tak kiedyś szpital stał na wsi,
nie umarłby mi tutaj mój syn...

W miejskim ośrodku dziś ja: — Doktorze —
ściskając dłoń mu ze wszystkich sił —
gdyby tak kiedyś, jak dziś — mój Boże —
jeszcze by ojciec mój dotąd żył...

WÓZEK Z TAPCZANEM

Słyszycie? Przyniósł mi kanapę
święty Mikołaj, zamiast różeg
Dozorcy-m dał, jak mówią, w łapę.

Gdym tapczan wioził ze składu,
przez Szewską-m ciągnął wózek
i Bohaterów Stalingradu.

Stukocą kółka po asfalcie,
dozorca — kuśtyk — noga z nogi,
zatem ciągnę sam, poeto polski.

Tu śmiech geniusza w krótkim palcie
przeciął rai głębię w podłe drogi
i biegł aż gdzieś pod Lasek Wolski.

O Muza, pamięć moja nawiedź
Lat temu ze trzydziści chyba

gdy pięścią tłukł w rym Marinetti,
ten pan strój kłowna kładł za marek 300,
dżekojke, no i babariba. —
tusz na kociółku i konfetti

Pcheł go na taczach futurysta
na Plac Szczepański między gawiedzi.

Tania to popularność była,
cyrkowa, głupia wiekopomnie.

Szczęśliwsza moja tęga mina
w tłumie obłąkanych smarem bluzek —
i tej niech prosty stróż nie zapomina:
nie hańbi praca, gdy jest siła.

Przeto dozorca szedł koło mnie,
a ja ciągnąłem jego wózek.

PRZED BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA

Niosę wam Lramom biblioteki,
jeszcze pisane moje wiersze,
najulubieńsze i najszczerze
i żegniam się z wami na wieki.

Zostańcie sobie w chmurach tomów
w rozpiętej w niebo bibliotece.
Zostańcie, świećcie mi, jak świece
z piaszki, która uszła z gromów.

Spadajcie lżawą kroplą wosku,
jak trzeba z kraju szczęśliwego
i z ziemi wierszy Janickiego
na prostą twarz, lecz nie beztroską.

O mętnych wodach i czystym nurcie list do przyjaciela

(Dokończenie ze str. 1)

towary", ożywiły się wesoło oczęta wczorajszych ascetycznych inkwizytorów, bluznęła obficie głupia, beznamiętna, handlarska anegdota, subtelni grafomani popędzili po zaliczki, ulegając po drodze atakom estetycznej epilepsji. Ach, potaniał kult jednostki, ach, podrożała trudność miłości, ach, będzie można niezadługo sprzedać dobrze każdy sen, hermetyczną psychologię, nawet Freuda, a co za widoki na Zachód... „Tańce, hulanki, swawola!”

To, na szczęście, wśród najbardziej mętnych, najgłupszych. Ale i najgłupszy, po ziemi jak i inni chodząc, ślad odbija, zostawia.

Nienawidziłem, nienawidzę tej obłesności, jaką ludzie małej wiary i małych przekonań ujawniają w okresach fermentu, przemian, kształtowania się nowych idei. Nienawidzę ich łatwej rezygnacji ze współpowiedzialności, ich czelnie bezbrojności, „poczekajmy co z tego wyjdzie”, ich cynizmu w „przeżmianie poglądów” z dnia na dzień, ich dociepów najeżonych szpileczkami na wszystkie strony świata, ich „wiadomości z pewnych źródeł”, ich „aktualnego” mrugania i poufalej „odwagi”, ich niewolniczego używania wolności.

Nienawidzę takich zawałów jak „nowy kurs”, „nowy (albo „świeży”) wiatr”, nawet do osławionej „odwilży” czuję szczerą odrazę. Bo te określenia sugerują jak gdyby magiczną jakąś, poza-naszą, poza-obywatelską mechanikę procesów historycznych, kulturowych, „instancjonalne” pochodzenie, że odmawiają im rzeczywistym współwzrostom prawa inercyjnego i świadomości udziału w stwarzaniu wartości. A dla ludzi, którzy mają odwagę nazywać się artystami, są — tak to czuję — znieważające, są obelga.

Cieszę się wszystkim realnym, cennym i słusznym, co pod tymi niefortunnymi meteorologicznymi hasłkami rzeczywiście kiełkuje, rośnie, może już niekiedy i dojrzewa. A więc tym, że artyści przestają karmić społeczeństwo sto razy przeżutą papką frazesów. Ze zamówienie społeczne będzie coraz bogatsze, pełniejsze, będzie wynikać z coraz to ambitniejszych dążeń, z coraz to głębszej wrażliwości, z lepszego smaku i rozumienia sztuki, z ufności, że potrafi ona odpowiedzieć na trudne pytania, a wreszcie z potrzeby jej radoznego piękna. Że artyści przywrócą godność swej pracy, że będą ją uprawiać bez zacierania do sztabackich ściągaczek, a za to podług rozumu, serca i sumienia. Cieszę się, żeśmy dostrzegli, nazwali i napiętnowali nasze wczorajsze błędy, żeśmy się opamiętali, że chcemy poprawy i rozwoju literatury realistycznej, że się trudzimy nad jej doskonaleniem. Ja tylko nienawidzę mętnej piany na falach „odwilży”. I jeśli mi smutno i nieswojo, to dlatego, że ostatnio — tak mi się zdaje — mętna pianą zakrywa coraz szerszej czysty nurt.

Coraz mi trudniej o porozumienie w sprawach literatury, a w ogóle coraz trudniej o jednoznaczność krytycznej wobec niej postawy. Drugi Zjazd Pisarzy Radzieckich — na przykład — podobnie jak nasze krajowe dyskusje literackie, podjudził wielu głupców i wielu świadomych szkodników do tego, by w jego ożywczym i życiodajnym prądzie moczyć brudne paluchy, bełtać, macić, dogrzebywać się na siłę do fusów i mułu. Gdy już mowa o odwilży, to jeszcze parę słów o niej, tym razem o tej przeżutej, o Erenburga. Gdy dwóch lub nawet trzech mówi to samo — nie jest to samo. Nie podoba mi się „Odwilż” Erenburga, wolę Erenburga — publi-

cystę i krytykę, niż Erenburga-beletystę. Lecz jestem przerażony, gdy się polapuję, jakich mam sojuszników w tym „nie podoba mi się”. Bo bęcwałowi X, muzealnemu zabytkowi najgłupszej reakcji, też się nie podoba, dlatego, że to powieść radzieckiego pisarza — komunisty. Z tym pół biedy. Gorzej, że otrząskanemu i szczwanemu inteligentniakowi „z branży”, koleś Y, też się nie podoba, gdyż — jak twierdzi — jeśli autor powiedział a, mógł mieć odwagę powiedzieć b. O cóż mu chodzi? O jeszcze więcej epatujące, drobnej sensacji w o-brazie radzieckiej obyczajowości — jeszcze mu mało! Ale najgorszą rzeczą w tym, że przeciw nam trzem (!) występuje cyniczny, wy-mądrzający, reakcyjny bubeł Z, któremu się „Odwilż” podoba. Oczywiście nie za to, że co się może podobać czytelnikom dobrej woli. Jemu wystarczy „a” bez „b” — on zachwycony tylko i wyłącznie drażniącą fakturą „demaskatorskiej anegdoty”. Ładny to z kolei sojusznik tych porządnych ludzi, którzy w polemice o „Odwilż” opowiadają się „pro” — Takie przykłady bałagańskiego pomieszczenia szyków na froncie walki ideologicznej mógłbym cytować dziesiątkami.

Gdzie jest polska — albo szerzej: socjalistyczna — literatura współczesna? To pytanie, często powtarzane, brzmi zazwyczaj u nas retorycznie, to znaczy zastępuje sąd katastroficzny: albo że jej nie ma, albo że jeszcze bardzo słaba. Ja staram się pojąć jej dosłownie i odpowiedzieć, gdzie ona u nas jest, a raczej w czyich ona rękach, jacy ją ludzie dokoła obstarpi, co z nią robią. Przyjmuję przy tym za pewnik — choć na przeprowadzenie dowodu nie starczy mi dziś ani czasu, ani miejsca — i to że jest, i to że wcale nie taka słaba, jakby chcieli w naród wmurować jej wrogowie i jej fałszywi przyjaciele.

Nie będę się rozpisywał o czytelnikach, bo tych uważam — choć tak często są zdezorientowani, choć my wszyscy piszący tak długośmy ich mylili, tumanili, wodzili po marnowcach złego smaku i obłudy — tych uważam za najlojalniejszych, najwierniejszych, najlepszą stosunkowo wolą obdarzonych partnerów literatury. Będę pisał o ludziach „literackiej branży” — o twórcach i o mniej lub więcej aktywnych działaczach „na polu literatury”. Także o kibicach — gadaczach, szep-taczach, opiniorobach.

Biedna, polska literatura współczesna! Można się pożałować. Policzmy najpierw twoich szczerych przyjaciół. Stoją przy tobie wiernie pisarze, u których od ich pierwszych kart, od lat, socjalizm zrosł się z talentem w jedno. Czują przy tobie mądra, oddana myśl działacza i polityków, którzy w wartości i sile literatury wierzą naprawdę. Stoją przy tobie pisarze i działacze, którzy do socjalizmu dojrżeli lub do-rzewują w trakcie trudnej rewolucyjnej edukacji.

Zatrzymajmy się na chwilę, bo już ten pierwszy szkic obrazu wcale nie taki prosty, nie jednolity. Nie u wszystkich pisarzy — komunistów talent artystyczny dorównuje mądrości i żarowi przekonań. Nie u wszystkich polityków sympatia dla literatury dopełnia się szacunkiem dla niej — nawet w odnośnych resortach państwowych i w gabinetach naczelnych redaktorów wazyłbym się szukać ludzi, którzy z okresu poprzedniego, z okresu pierwszej kampanii o przełom „na rzecz” realizmu socjalistycznego, przenieśli mniej lub więcej świadomie postawę laskawych protektorów, pobłażliwych opiekunów i dyrygentów, przenieśli poczucie, że to

w ich głowach tylko i w ich rękach formują się nowe normy estetyczne i ideowe, nowe kryteria wartości — a tzw. twórcy, to podatne lub uparte, bystre lub tępawe, a na ogół nieostre i zabawnie rozszczebiłane przedszkolaki.

Wreszcie pisarze, którzy „doszli” lub „dochodzą”: tu dopiero galimatias! Eksmieszkańcy, a obecnie ludowi inteligencji zareagowali na socjalizm najrozmaiciej, nawet przy jednakowo szczerej i jednakowo zaawansowanej deklaracji wewnętrznej. Różnice form, jakie zastosowali w twórczości i w ogóle w życiu, powodują między nimi sporo konfliktów, awersji, rezerwy. „Nieantagonistyczne” bożenie się na siebie miewa konsekwencje zjadliwie antagonistyczne, bo jest przechwytywane i intencjonalnie preparowane i przez różnego asortymentu marudów, i przez reakcję. Swojego czasu osławieni „pryszczaci” — na ogół absolwenci mieszczkańskich pie-luch — otóż „pryszczaci”, nieprzejednani pryncypialiści w podnizczonych pulowerach, bez krawatów, trzymający papieros ogienkiem do wnętrza dłoni „po robociarsku” czy „po chłopsku” — wybrzydali się na „salonowych komunistów”, ludzi sprawie oddanych, lecz ceniących sobie na ogół elegancję i higienę.

W rezultacie wroga reakcja, dworując sobie i z jednym, i z drugim, podkopywała ich własnymi rękami autorytet awangardowej literatury. Nawet wśród „salonowych” nie było zgody — różnił ich stopień zaangażowania, jedni już włączyli się w czynną praktykę pisarską i organizacyjną, drudzy jeszcze oszczędali rąk, pracując ni tylko „intelektualnie”, „teoretycznie” — dumni z ostrożnego dystansu wobec gorącej, żywiołowej teraźniejszości. Na mrocznych marginesach, na tyłach tej „podzinnej wojny” byłych mieszczan, liberałów, „zrezygnowanych” estetów, desperackich entuzjastów oraz byłych oseków — względnie pozytywny, lecz nie pozbawiony jeszcze wahań i oporów materiał ludzki mieszał się raz po raz (i miesza się dziś) z rekonesansem wroga. „Wojna rodzinna” raz po raz stawała się (i staje się dziś) walką klas.

Przykłady? Wystarczy posłuchać, jak złośliwy, szepczący, nienawistny wykorzystują dla swego „nie” każdą nieprzemysłaną, nie dość od powiedzialną, nonszalancką lub po prostu głupią krytykę współczesnej literatury, współczesnej — tej czy innej — książki, która usiłuje pchnąć socjalizm w literaturę o pół bodaj kroku naprzód. Jak skwapliwie podpisują się pod pochwałami dla innej, która wprawdzie „mieści się” w naszej ogólnospołecznej li-cencji (zwłaszcza ho, ho! — przy „nowym kursie”), ale swymi właściwościami formalnymi, bądź indyferentnie „wiecznościową” treścią przypomina jako tako „dobre, stare czasy” przedwojennego „Roju” i Cukrowskiego. Albo (ach...) „najlepszą”, „najfajniejszą”, „zakazaną” literaturę Zachodu. Można taką książkę popieścić i za to, że „podobna” do „tamtych” — i za to, że dostarcza wygodnego „alibi” w dyskusowaniu na socrealizm. Pyskuje? — owszem! Ale nie wrogo! Przecież jednym z nich równocześnie chwalebę to, i to, i to — wszystkie te książki wyszły przecież w naszej kochanej ludowej Polsce!

Podkreślam, że mówię o wrogach — kibicach, pyskaczach. Niech mi tu nikt nie powie, że optuję za „ukróceniem wolności”, za ograniczeniem swobody pisarskiej w treści i w stylu, za usłaskawieniem i pochówną intronizacją urzędasów, teńhorów, terrorystów, dzierzgęb-ków. Ja pragnę, by w wolność uczciwego artysty nie pchał brudnej łapy szkodnik i wróg — wszystko jedno, z prawa czy z lewa. Pragnę, by ta wolność działa się czysto i sprawiedliwie. Chcę, byśmy wiedzieli, byśmy sobie zdawali sprawę, że walkę o dobre książki trzeba nam toczyć na dwóch frontach: raz — w nas samych, piszących, w naszych najlepszych możliwościach i dążeniach; dwa — przez rozbijanie trojańskich koni z dywersją, z antyludową kontrofensywą. Chcę, by ocknęło się z niemocy i ospałości to wszystko w naszej krytyce, co jest pragnieniem dobrej literatury, miłością dla niej, wiarą w jej przyszłość. Byśmy umieli dostrzec wszelkie — świadome czy nieświadome — szkodnictwo i zagrobieć mu. Byśmy umieli rozróżnić, co w krytyce negatywnej wynika z troski o literaturę, a co jest małkonctentem, wybrzydzeniem, kontropropagandą, złą wolą. Co w tym służy przyja-ciom literatury współczesnej — a co jej wrogom.

Lekkomyślność, dezygnoltura, snobistyczna kokieteria wielu naszych krytyków i publicystów — inteligentnych, umysłowo obrotnych, a przy tym, co ważne i gorzkie zarazem, ludzi subiektywnie uczciwych i będących z socjalizmem jeśli nie na „ty”, to w każdym razie na „my” — podszczypuje, poszturkuje, podkopuje literaturę współczesną ku uciesze gapów, niechętnych, wrogów. Nie zliczę przykładów. Kazimierz Brandys wciął jeszcze na siłę, wbrew realnym upoważnieniom, starając się niektórych krytykę zatrzymać na pozycji „inteligenta z obciążeniami”; nie znajdują w „Obywatelach” „obciążenia” w treści — to gmerają po freudowsku czy po adlerowsku w „kompensacyjnie optymistycznym nastroju”, w

„kompleksach formy”. Zwawy i świętny Kijowski, ulegając od czasu do czasu atakom pryszczycy, której nie przeżył we właściwym czasie, tnie podług humoru czy kaprysu to w Bogu ducha winnego Konwickiego, pisarza jednego z najważniejszych a więc i najsamotniejszych w awangardzie ryzyka — to w krakowskich kolegów, chyba za to, że szczerze i uczciwie porzucili dawny warsztat formalistyczny, konstruktywistyczny czy jak tam jeszcze, pojechali do Nowej Huty i najlepiej, jak potrafili, o niej napisali. Napływają do redakcji recenzje od niłodych uczonych IBL-owców i nie IBL-owców, niektóre z nich zadziwiają bezbrością w grymasnictwie i potępieniu, w absolutystycznym oderwaniu książki od całej biografii pisarza, na której te wygląda ona zupełnie inaczej, lepiej, jako świadectwo przemian w niełatwym dojrzewaniu. Marcin Czerwiński i Jerzy Adamski, krytycy wytrawni i przecież literaturze bardzo serdeczni, żaląc się w niedawnym odczycie wygłoszonym na zebraniu Sekcji ZLP na „nędzę filozofii w polskiej literaturze współczesnej”, z podziwu godną jednostronnością ograniczyli dokumentację tezy do jednego hurra-wiersza i czterech książek: ze „Śmierci liberała” Sandaiera wy-dobyli dowód pesymistyczno-nihilistyczny, z „Pokolenia” Czeszki i z „Dni kłęk” Zukrowskiego przypomnieli smętne i mętne dywagacje dwóch reakcyjnych rezonerów, z „Celulozy” Newerlego — liryczne, nie obowiązujące „filozofowanie”, na któregoś tam stronie, bohatera powieści: cytowane w tymże odczycie wywody teoretyczne jakiegoś estetycznika (nie wymienili go po nazwisku) na tematy filozofii, szkoldwie i balamutne, skwitowała elegancka, „tylko metodologiczną” nagana. Czy to istotnie wszystko co na temat filozofii w naszej literaturze, na temat jej badawczych, poznawczych ambicji i spełnień dąłoby się powiedzieć? Więc co: czy nawet u przyjaciół — intencjonalność na „nie”? A bystry, głęboko drażący Plaszen? Skąd u niego rezygnacyjna koncepcja naszego jutra pisarskiego — z „taką sobie” co najwyżej „powieścią środowiskową”, z odrzniętą „powiastką filozoficzną” jako szczytem naszych możliwości? Czytałem ostatnio jego artykuł napisany dla zaprzysiężonej zagranicznej redakcji. Raczyl w nim przyznać naszej literaturze ostatnich lat, że się polepszyła, bo mia-nownie w swych najwybitniejszych realizacjach, porzuciwszy schematy (nie całkiem), nawróciła do stylicznego doświadczenia klasyków. Samodzielnie, twórczej ambicji, bodaj w intencjach i próbach, jeśli nie w efektach — nie dostrzegł. To akurat trudno mieć za złe — to jego, Plaszena, prywatna „organizacja” sprawa; trudno winić za słabość wzroku.

Wszystko to skłębione, zmotane, słusznoscą z niesłusznosciami, smutna słusznoscą zyczliwych ze stokroć smutniejszymi słusznosciami nieprzyjanych — i ja tu popelnilem niejedną niesprawiedliwość, trudno na jeden raz i równocześnie wypo-wiedzieć, wyrazić grę, walkę sprze-czynnych sił. Tym trudniej, że — jak pisał niedawno w swym ciekawym artykule Leszek Kołakowski — błędne i kłamliwe teorie zawierają cząstkowe elementy prawdy, sławiają realne zagadnienia. Tym trudniej, że niejedną krytyk-mar-kkista zastawił budzik na „komunizm”, wsadził go pod poduszki i zasnął, ukłonił laurawą wonią Racji Dowiedzionej.

Przytoczęlem parę nazwisk ludzi, których potknięcia czy nieostrożne akrobacje wynikają przecież z dobrej woli, ludzi którym ufam. Nie wymienię innych w których dobrą wolę mniej wierzę. Jakkolwiek laszą się do Polski Ludowej z taką śmiałością i poufalością, na jaką by się nie zdobył żaden przyzwoity, lecz wstydlivy człowiek. Ich praktyka jest obłudna. Na jej nie — pogarda dla literatury realizmu socjalistycznego. Ukrywają ją, osłaniają profanackimi deklaracjami, słodzą trującą sacharyną rzekomą „troski”. Był czas, kiedy nie mogli głosić jawnie swych reakcyjnych, kosmopolitycznych gustów. Nie mogą i teraz — lecz kompensują sobie konieczność trzymania swych miłości w sekrecie zastępczymi formami szafu, aluzyjnego anonsu, dwuznacznych grymasów, malpich min. Znajdziesz u takiego na jednej stronie — i po tym rozpoznasz, że nie orzeł to, nie sokół, lecz bażant — co następuje: 1) lekceważenie, nierzadko pogardę dla współczesnej literatury realizmu socjalistycznego, osłonięte mniej lub więcej demagogicznymi pozorami argumentów; taki facet gotów ci dowiedzieć, że wartość literatury zależy wyłącznie od interpunkcji; 2) umizg do postępowej lub względnie-postępowej współczesnej sztuki Zachodu; 3) przeciwstawienie naszemu literackiemu ubóstwu wielkim pisarzom („pewniakom”) i Wschodu (tym razem) i Zachodu: Tolstoj jeden i drugi, Szolochow, rzadziej Gorki, Stendhal, Balzac, Flaubert, z naszym — Prus; 4) różne inne nazwiska, lube, wysypiewane w tonacji niam-niam z molowymi wstawkami „zabezpieczającymi” na temat „merytorycznych zastrzeżeń”, „ograniczeń”, „błędów”; tu Kierkegaard, Heidegger i Bergson, tu Eliot, Sartre, „wielka czwórka” amerykańska,

tu Joyce, Proust, Kafka, tu... — bywa ich mniej, bywa więcej. — Znowu się zalamuję pod ciężarem obawy, że zostanę źle zrozumiany. Przecież i ja niejednego z tych myślicieli i pisarzy darzę wierną sympatią i szacunkiem, niejednego mi żal, jak żal, za los tragiczny i samotny, za sztukę z potężnym a złamanym skrzydłem, za geniusz co zbłądził w nieszczęście. Mimo to wiem, jestem pewny, że moja sympatia i zaszyfrowana sympatia bażanta są jakościowo różne. Wspominałem o ideologicznym „alibi” kibiców, szepczacy. To on, bażant, intelektualny bikiniarz, snob, nienawistnik — sam sobie za nazwisko Tolstoj, Balzaka i Szolochowa budując bunkier — podrzuca zakonspirowanej reakcji przepis, jak się trzeba zabezpieczyć, by bezkarnie i bez obawy pokrzykiwać „nie”.

Uczy on i jemu podobni podpierać „alibi” rodzimymi wartościami, żeby było murowane. Włazają preżyst, święty talent i najlepszą wolę współczesnych nam polskich pisarzy w zawiłą, śliską intrygę koniunktury, giełdarskich rozgrywek, dwuznacznych ideologicznie kon-tęstwów. Mielizbysmy — rozumiąj trafiać — być tak głupi, żeby nam się nie podobało? To by się stało podejrzane. Więc „lansują”. Wy-suwają jednych przeciw drugim. Węszą, kogo kiedy kto skrzywdził, kto się czuje samotnie, niepewnie, żeby pożałować i pocieszyć. Kręcą się obłudnie koło A. Rudnickiego, Szaniawskiego, z perfidią chwalebząc za twórczą izolację. Nałkowskiej budują pomnik z jej mistrzowskich przecinków i kropkek; „reszta” skromnie przemilczają. Nawet Dąbrowska — jakiś pisarz-realista! — nie uniknęła ich kareosów: „Trzecia jesień” okadził, gdy im trzeba było, na swych czarnych mszach. „Pamięć z Celulozy”, tej arcykolejkiej powieści, nie dali rady — musieli na nią przystać; historia tej ich z narodem jednomyślności nie da się zawrzeć w zdaniu, warta osobnej rozprawy.

*

Ewo Droga — bardzo zapewne w swej skardze poprzedałem. Nie żałuję. Dziękuję Ci, żeś towarzyszył mojemu żalowi, moim obawom i złości mojej, żeś mi pomógł je wypowiedzieć. Dziękuję Ci i zegniam Cię — ostatnie słowa powiem już wprost do tych, którym mój list jest w istocie dedykowany.

*

Pojąłem jedną rzecz, którą i wy zapewne dobrze rozumiecie, skoro z taką śmiałością, tak zuchwale prowadzicie swą przewrotną ofensywę. To mianowicie, że obóz przyjaciół literatury, jeśli nie jest skonsolidowany, jeśli działa jako luźna suma pojedynczych dobrych chęci i do-brych racji — jest w gruncie rzeczy armią słabą, nie operatywną, ciężką w ataku, ospałą w obronie. Nas, przyjaciół literatury, nazbyt odrętwia poczucie swojej słusznosci. Nie chcemy nam się bić, bo i tak jesteśmy silni, jesteśmy górą. Jeszcze i co innego skłania nas do cierpliwej wyrozumiałości: ów lek silniejszego, by wymierzenie zasłużonego klapsa nie wydało się nietolerancją, „prześladowaniem”. W przeciwnieństwie do naszej sytuacji — wy się nawet nie musicie łączyć w związki, w mafie, tworzyć armię. Zło, dywersja, wroga robota, nawet w rozproszeniu, pojedynczo uprawiane — jakoś w efekcie z sobą łączą, działają jak zły klimat, który z różnych bagien bierze początek, lecz dokucza jednym już wyziwem. I w tym jesteście niebezpieczni, i jednak trzeba przypomnieć sobie o was, że jeszcze żyjecie.

Nie wołam, by was gnębił. Wasze szeregi przerzedną. Życie nie stoi w miejscu, idzie naprzód, zadyszczy się. Nadszają ci, co jutro lub pojutrze pojma, czym wolność różni się od dowolności i swawoli. Watażkowie i zagoncyzy dywersji przestaną szepać i syczeć, gdy się koło nich zrobi pusto — szeptem i sykem pod-trzeba uszu, które by słuchały bardzo z bliska. A i wy, co umiecie judzić głośno, publicznie, pogrzebie-rani za „naszych”, wy, pokrętni publicyści, którzy za swą pogardę dla współczesnej literatury bierzecie pieniądze z redakcyjnych kas, którzy właśnie z tego życia, na co się wybrzydzaacie — wy, jeśli naprawdę jesteście tak inteligentni, jak o sobie mniemacie — wcześniej czy później wyróżnicie i brem w ślepią ścianę nonsensu. I albo zawrócicie, albo ta ściana stanie się dla was ścianą placzu.

Wy wszyscy — dywersanci kultury, snobi, estetyści, wyszukańcy, dreszczykarze, wymuskani eleganci pseudo-intelektuali, lizydoży, kręcińskoski, wydrwimordki, pajace — pozwólcie sobie powiedzieć, że Polska Ludowa, która jest dla was tylko „banalem” i „nudą”, dadzą sobie jakoś radę, mimo wszystko, mimo was. Literaturę wesprą ci, dla których ona jest. Wasza broń uprzy-czyna. Wicie, jak się walczy z komarzami żądękami? — przykują w komara. Totum pro parte. Jeśli nie będzie potrzeba przetłumaczyć wam tej łaciny na język polski, tym lepiej dla was. Zależy to od waszego rozsądku.

Wilhelm Mach

Arystofanes w przekładach Józefa Jedlicza

W 2400 rocznicę urodzin Arystofanesa ukazały się „Ptaki”, to arcydzieło genialnego komediopisarza ateńskiego w przekładzie poetycznym niedawno zmarłego Józefa Jedlicza. Kiedy się czyta tę komedię, w której symbioza pamfletu politycznego z fantastyką baśniową doprowadzona została do całkowitej harmonii i równowagi tych dwóch elementów, a budowa dramatyczna zdumiewa zwróceniem uwagi i przejrzyścieścią poruszanych problemów — nie tylko staje przed oczami świat ateński z epoki Alcibiadesa i wypraw na Sycylię, ale ostrze satyry społecznej i politycznej sięga poprzez wieki aż w dzień dzisiejszy.

Arystofanes był zwolennikiem pokoju, wrogiem przemocy i wyzysku. W „Ptakach” ze znuwającą nas swe czasy odwagą osmielił się przeciwstawić potęgę bogów olimpijskich bunt ludzi, przemienionych w ptaki, i pomimo że w komedii tej wysmiewa Sokratesa, ma wiele z nim wspólnego w podkopywaniu ślepej wiary w potęgę bóstw olimpijskich. Nie dość na tym: pozwala sobie na groteskę, o wiele dalej idącą, niż dziewiętnastowieczne operekowe parodie w rodzaju „Pięknej Heleny” czy „Orfeusza w piekle”. Jego Prometeusz pod parasolem, który ma zasłonić go od mściwego wzroku bogów, albo delegacja olimpijczyków u wodza ptaków Raddruha, mają tyle żywiołowego humoru, że i dziś mogą rozbawić do łez widownię teatralną, naturalnie widownię, trochę obytą ze światem antycznym. A obok tego — co za wdzięk w odtwarzaniu natury ateńskiej, zwłaszcza świata ptaków, ile lekkości i giętkości w częstych zwrotach onomatopeicznych, w zmiennym rytmie dwujęzycznym, jak śpiew ptasi, wiersza!

Te wszystkie olśniewające walory arcydzieła greckiego wydobyl i literaturze polskiej przyswoił Józef Jedlicz w przekładzie, który z przedmową Kazimierza Kumanieckiego ukazał się w pięknej szacie graficznej nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Po raz pierwszy przekład ten był wydany w roku 1922, jako pierwsza książka w bibliotece przekładów z języka greckiego i łacińskiego, noszącej nazwę „Pan”. Już wówczas przekład ten został powitany przez najwybitniejszych znawców przedmiotu: filologów i krytyków entuzjastycznymi recenzjami. Minęło od-tąd z górą trzydzieści lat. W ciągu tego czasu tłumacz, zasłużony poeta, filolog i wybitny znawca teatru udoskonalał swój przekład, zaopatrywał go w przypisy, zdobywając drogą męczących studiów, i wskazywał inscenizacyjne: pierwsze pozwalają czytelnikowi dzisiejszemu zrozumieć liczne aluzje do ówczesnych stosunków i postaci głośnych ra bruku ateńskim oraz fincje mitologiczne, — drugie — zorientować się w helleńskim układzie scenicznym.

Tekst grecki jest tłumaczony rytmowanym wierszem polskim o rytmie rozmiarowym, zgodnie ze zmiennością prozodii oryginału. Tłumacz trafnie posługuje się dosadnymi nie-rzecz ekwiwalentami idiomatycznymi porównań, przypowieści i igraszek słownych, w których lubuje się Arystofanes.

Nasza literatura przekładowa wzrogacona została o jeszcze jedno dzieło klasyczne, odtworzone w pełni bogactwa i uroku wzorowej pol-szczyzny.

Stefania Podhorska-Okołów

Arystofanes: Ptaki. Komedie. Przełożyl i objaśnił Józef Jedlicz. Wstępem opatrzył Kazimierz Kumaniecki. Państwowy Instytut Wydawniczy. 1954 r. Str. 194.

Żydowski Instytut Historyczny

Ukazał się numer 11-12 „Ełetywny” Żydowskiego Instytutu Historycznego treści następującej:

- T. Lewicki — Ze studiów nad tzw. „Korespondencją Chazarską”.
- B. Mark i F. Kupfer — Odrodzenie a Żydzi we Włoszech.
- J. Bartyl — Materiały do budownictwa drewnianego i do struktury społeczno-zawodowej ludności żydowskiej w Strykowie w XVIII wieku.
- J. Dąbrowski — Jan Czyski i jego walka o równouprawnienie ludności żydowskiej.
- E. Stokel — Działalność żydów w powstaniu poznańskim 1848 r.
- E. Ringelblum — Notatki z getta.
- B. Mark — Salomon Majmon.
- A. Rutkowski — O kulissach paryskiego procesu hitlerowskich zbrodniarzy wojennych gen. SS Karla Obergera i plk. SS Helmutha Knochenha.

180 stronice Cena zł 10

Do nabycia w kioskach „Ruch” i w Żydowskim Instytucie Historycznym (Al. Gen. Świerczewskiego 79).

k 4351-1

10 NAJLEPSZYCH KSIĄZEK DZIESIĘCIOLECIA

KARTA PLEBISCYTOWA

Imię i nazwisko autora	Tytuł książki
1	
2	
3	
4	
5	
6	
7	
8	
9	
10	
Imię i nazwisko czytelnika	
Zawód	
Adres	

JAN GAŁKOWSKI

ZAWISTNY DIALOG TELEFONICZNY DWOCH ŻON PISARZY



Rys. Maja Berezowska

- Mąż twój pisze?...
- Pisze.
- W domu jest?...
- Nie. Wyszedł.
- Wyszedł?...
- Wyszedł, kochany

taki przepracowany —
wcale mu się nie dziwię...

— Żeby tak wyszedł w PIW-ie.

ZA GRANICA

ALEKANDER MOISSI, jeden z najwykszych tragiczków w historii teatru, był, jak podaje wychodzące w Tiranie czasopismo „Nowa Alfabeta”, „najbardziej wielkim Moissi urodził się w Durrës, gdzie dotąd żyje jego rodzina. Lata młodości spędził w Tiesie, a także w kontrybucyjnej służbie w konserwatorium wiedeńskim. Zauważył się w ciężkich warunkach materialnych, musiał przetrwać kilka spisków i przeżywał się jako statysta w wiedeńskim Burgteatrze. Nie mogąc otrzymać w Wiedniu upragnionego pożądanego, wyjechał do Tirany, gdzie debiutował w trzech różnych rolach w tamtejszym Teatrze Niemieckim.

Dopiero po przeniesieniu się do Berlina początkująco aktorzy znaleźli miejsce dla swojej sztuki. Moissiego protektorem w Berlinie słynny reżyser niemiecki Max Reinhard. Po puczie „czerwonych niepowodzeniach” w Berlinie funkcjonalnych teatrów niemieckich, udaje się wrzescie Moissiemu stworzyć kapitał kreacje Hamleta, za którą następują sukcesy w spektaklach takich twórców jak Heinrich Heine, Adolph Lohse, Kari Orelli, Król Laa, Karolina, Henryka IV i In. Jest Eddia w „Żywym trupie” Tolstoj, doktorom Faustem i „Czerwone róże w szuk.” Czechowa, Mollera, Ibsena, Hugo. Świeci kolejno triumfy na scenach Moskwy, Berlina, Wiednia, Pragi, Amsterdamu, Sztokholmu, Kopenhagi, Bukaresztu, Florencji, Nowego Jorku. Występuje również w Krakowie. Gra Moissiego zyskuje sobie wielką popularność. Aleksander Moissi odwiedził m. in. Związek Radziecki i rozprawił się z wielkim rosyjskim reżyserem K. S. Stanislawskim, który tytułował go „moim przyjaciele”. HANS HELMUT KIRST — jest pisarzem zachodnio-niemieckim, autorem powieści, na które tytuły składają się liczby „08,15”, fragment „08,15” drukowaliśmy w r. ub. w niemieckim numerze „Nowej Kultury”. W 1965 roku wywodził w Niemczech wiele dyskusji z naszanymi dyskusyjami i zostało już przetłumaczone na kilka języków obcych. Ostatnio „08,15” ukazało się w przekładzie polskim w wydawnictwie Czytelnik w Warszawie, w tym nakład początkowo książki wynosi 250.000 egzemplarzy. Tygodnik „Les Lettres Françaises” przyrównuje tę książkę do słynnych antycznych powieści Remarque’a („Na zachodzie bez zmian”) i do powieści Arnolda Zweiga (cykl o sierżancie Grizy). „Hans Helmut Kirst, który żyje w Berlinie, stał się dzięki swoim wałom literackim i odzewom, jaki wywołało w Niemczech, a z pewnością będzie je mieć również we Francji, jednym z najważniejszych przyczyną przyszłości młodemu pokoleniu pisarzy swojego kraju” — zauważa tygodnik. (a)

Maurera oraz wypowiedzi... „polskiego przyjaciela, proklamującego „Ran...” go”. Taeglich Rendschau uważa tego rodzaju „kwitowanie” dyskusji przedłużającą za niewystarczającą. *

NOWA KSIAZKA RZEZACA — „Bitwa”, która osiągnęła w przedpięcie, jeszcze przed wydrukowaniem, nakład 120.000 egz. Jest zdaniem krytyki chłostwowalną wielkim osiągnięciem autorstwa Anni Zwarg z Teatru Czechosłowackich „Literarni Noviny”, pisze m. in. o „Bitwie” Rzezacza, Jan Mukarzowski. „Bitwa — to jednak sukces nie tylko w literaturze, ale także w literaturze. Jest jasne, że w chwili obecnej z gatunków literackich właśnie powieść — na równi z dramatem — ma za zadanie reagować na potrzeby nowych związków między ludźmi. Przystępując ją do tego zdolności obrazowania ogromnych prądów wydarzeń społecznych, przy czym nie wolno zapomnieć o naciśnięciu obserwowania najmniejszych nawet ruchów

ciach „wielkiżycie”. Moissie z swej strony stwierdził przebywając w Związku Radzieckim: „znalazłem tutaj ludzi, którzy mnie nie uważają za człowieka”. Wiosną w roku 1935, nie zrealizowawszy swoich planów przeniesienia się do „Mechatu”. Podając powyższe informacje, „Życie” stwierdza: „Wielki Albani” stwierdza: „nie przesunę do dziś dzień uważa się Moissiego za „wiedziencyka”. Wielki tragicznie wyżył swą duszę nad światem, światu jednak zawsze dzień niepodległości Albani w kręgu przebywających na obczyźnie studentów Albanczyńskich”. W 75-lecie urodzin Aleksandra Moissiego i 20-lecie jego zgonu. (A)

LIST TOMASZA MANN-
NA z pochodzenia niemie-
cki, z wykształcenia Węgier-
ski, z okazji przygotowa-
nia do obchodu 50-lecia
urodzin największego poe-
ty proletariackiego Wę-
gra, Tomasa Józsefa
— opublikowała ostatnio pra-
ca budapesteńska. Spokas-
Mann pisze m. in.:
„Nazwę Józsefa, spotka-
łem w Budapeszcie, jego
subtelność i szlachetna

„... SIEDZĘ NAD MARSZEM...”

Zaczęłem wszystko jak należy,
bratnie oddechy w trąbach były,
przez partytury pułk żołnierzy
przedefilował z miedzią u szyi.

Szli w kolektywnym rytmie wartkim,
pułk i kapela — na dwie ćwiartki,
lecz nim do trio się zbliżyli
cały mój talent wytrąbili,
poczem zaczęli rżnąć opornie,
uszy zatkawszy i waltornie —

Uderzam — lewa, biję — prawa
 Pedal do nogi się przylepia.
 I znowu leci czajnik z kawiara
 w tęppokrywę moją fortepian —

**Pucuję szorstkie interwale,
akordy wbijam jak hufnale.**

Wagner się pieni za szkłem w ramie,
i Bach na sztychu organ łamie —

Już okno skrzypi i podłoga
(instrument ma pokrywę zdjętą),
i kurz podnosi się na drogach...

Ja piszę marsz „Zwycięska noga“.

Na orkiestrę dęta.

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

T	$\mathcal{L}$	U	M
-----	---------------	-----	-----

Nie cierpię mrozów. W równym stopniu nie znoszę upałów. Z tej przyczyny narażony jestem na ciągły konflikt z naszym kontynentalnym klimatem. Konfliktu tego nie łagodzą bynajmniej wybieczki do kina, gdzie wciąż się najwymszyjniejsze zasadzki klimatyczne. Jedną z takich zasadzek jest niewątpliwie „Sierpniowa niedziela” Luciano Emmera wyświetlana w rozkwieśniętej, ale mroźnej i śnieżnej zimy.

Wychodząc z kina opuszczamy zatłoczoną i nagraną plażę w Ostii i znajdujemy się na tłocznej ulicy warszawskiej, gdzie pada śnieg. Zmiana tak gwałtowna, że aż go-towa zatrzeć jednym zamachem ki-nowe wrażenia. Jedno tylko jest wspólne — tłum, tu i tam, w kinie i na ulicy. Pomówmy więc o tłumie.

Po obejrzeniu na ekranie tego włoskiego tłumy przypomniało mi się, nie nowe zresztą, często powtarzane przez sceptyków zdanie, że

Polsceniemożliwością jest zrobienie realistycznego filmu o codziennym życiu, ponieważ Polacy w swych cechach zewnętrznych nie są ekstensywni, nie manifestują

swoich uczuć na zewnątrz, posiadają ubogi i niewyraźny repertuar zewnętrznych odruchów. Przeciwnieństwem mogą być tu Włosi, Francuzi, narody południowe.

Obserwacja ta nie jest pozbawiona sensu, tak samo akurat, jak niemало sensu kryłjw w sobie spostrzeżenia starego Kluczkj, przy pomocy których podważa on przed wielkiem rację bytu małrństwa narodowego w Polsce. Tylko, że w obu wypadkach zbyt pochopnie są wnioski. Je spostrzeżenia bowiem dotyczących cech zewnętrznych wynikać może jedynie, że nie wolno tych cech od innych kopiować, lecz trzeba, tworząc sztukę narodową, opierać się na tym, co w kraju naszym jest rzeczywiste, co jest prawdziwe o naszych ludzjach i pejzażach.

Wydaje mi się, że „Sierpniowa niedziela“ film oparty na wyrazie wewnętrznym tłum nie mógłby znaleźć bezpośredniego odpowiednika w Polsce, jednocześnie jednak druga warstwa tego filmu, na którą składają się nagle nowelki — zbliżenia, wycelowane w poszczególne osoby, skiadających się na tłum dają wiele do myślenia, zwa-

szcza u nas, gdzie psychologiczne zbliżenie, próby wdarcia się pod powierzchnię warstwę ludzkiego zachowania się dają niekiedy wyniki wprost nieoczekiwane.

Przypominam sobie pewnego człowieka, którego spotkałem będąc z wizytą u znajomego. Człowiek ten miał wygląd bardzo codzienny, był jakimś mechanikiem czy technikiem na budowie. Znajomego mojego odwiedził po kilku latach niewidzenia, a łączyły ich jedynie lata szkolne. Trudno wyobrazić sobie ludzi mniej pasujących do siebie, niż ci dwaj – jeden pisarz i intelektualista, żyjący prawie wyłącznie w świecie myślowych abstrakcji, drugi technik czy też mechanik, zajęty sprawami bardzo konkretnymi, rzeczowymi, „przyziemnymi”. Mówiliśmy o architekturze, która zaczynała być wtedy modnym tematem. I zupełnie niespodziewanie ów technik utracąc począł przykłady Rzymu, Paryża i Londynu. Analizował je szczegółowo, dorzucał jakieś subiektywne refleksje. Okazało się, że widział Rzym, Paryż, Londyn. W czasie wojny objechał całą Europę i spory kawał Afryki. Znna-

języki. Jego życiorys każdy południowiec obnosiłby zapewne jak sztandar. Ten jednak miał wygiąd codzienny i doprawdy nie zwracał niczym uwagi. Sądzę, że nie przez skromność. Po prostu nie umiał być ekstensywnym.

Nie wierzę w opowieści o tłumie, o „samym tłumie”. Jeśli tłum ma być ciekawy, musi być zindywidu-
lizowany. Albo poprzez ekspresję
plastyczną, jak na schodach odes-
kich w „Potiomkinie”, albo przez
bogactwo indywidualną, rzekłbym,
epicką gestykę, jak u Emmera, albo
poprzez psychologiczne zbliżenie,
pokazanie losów poszczególnych je-
go przedstawicieli.

Tłum jest jedynie tłum, jakimś wspólnym mianownikiem, czy też lepiej funkcją ludzkiej różnorodności. W sztuce jest on wypadkową masy indywidualnych „historijek”.

Skoro już padło to słowo — jeszcze o „historyjkach”. Denerwują się niektórzy, że nawiązanie z tego tytułu modnego wyrazu, którego filmowcy nasi czepiają się jak tonący brzytwy. „Historyjka” — efektownie rozwinięty, wyśłowiony chwyty dramaturgiczny — oto cudowny lek na nasze bóleżki. A ja się uwalę z historyjek nie śmieję, tylko twierdzę, że każda historyjka posiada sama w sobie, w swojej konstrukcji, konkretny walor ideologiczny, że nie ma historyjek cudownych i uniwersalnych, są tylko historyjki konkretne, i wtedy nazywa się to — dramaturgia.

Popatrzmy na przykłady. Był taki amerykański film o „człowieku niezwykłym”. Rodził się — i jako niemowlę był „niezwykły” w oczach swoich rodziców. Kochał się — i jego miłość była „niezwykła”, wyjątkowa. Był niezwykły zdolny w pracy. I film kończył się zbliżeniem postaci bohatera przy biurku. Później aparat odjeżdżał w górę i ukazywał ogromną salę, pełną takich samych biurów i pochylonych nad nimi takich samych niezwykłych ludzi. Historyjka, co?

I jest „Sierpniowa niedziela“ Emnery. Zaczyna się od tłumy, że niny wszyscy jednaki. Później wy-
-aniają się poszczególne sylwetki —
-ażda inna. Obserwujemy ich życie
-paru godzin, później nikać w tu-
-nie. Też historika.

Czy podobne są do siebie te historyjki? Nie. Dlaczego? Dlatego, że każda z nich, będąc „tylko” historycznym kompozycyjnym, posiada od razu określona treść. Pierwsza jest protestem przeciw kułtowi bohaterów, cowhojów, ludzi wyjątkowych i powiada: uszczypli jestesmy jednakowi, malucy w tym wielkim świecie, szarzy. Druga mówi: każdy z nas jest bogaty, inny, własny, interesujący, choć razem stanowimy tłum. Zaczęło się od fikcji kompozycyjnej, a skończyło na filozofii. Wiedzący są uniwersalne historyjki „na każdy sezon”?

Krzysztof T. Teplitz